Nr. 135. Lwów — Sroda dnia 15 Czerwca. Rok 1904.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h
w Niemczech . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . 12 h
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . 60 h
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . . . 60 h

Dziś: św. Wita i Mod. — Nicefora
Jutro: św. Franciszka R. — Lucyliana

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o godz. 4 m. 5
Zachód „ „ 7 m. 56

Długość dnia godzin 15 minut 51
Przybyło dnia od wczoraj 1 min.

Skutki agitacyi Banffy'ego.

Piszą nam z Pesztu 12 czerwca:

Program Banffy'ego zawiera, jak wiadomo, dwa główne żądania, schlebiające szowinizmowi: madyaryzacyi i ekonomicznego oddzielenia się od Austryi. Agitacya jego, wykonywana dotąd za pomocą mów, broszur i artykułów dziennikarskich, o tyle już oddziałała na ludność, że do sejmu wnoszone są petycye o to, aby Węgry tworzyły odrębny okręg celny. Stronnictwo kossuthowskie, zazdrośne o swą popularność, przyjęło to żądanie do swego programu i sprawę odrębności celnej postawiło na porządku rozpraw sejmowych. Posłowie Szatmari i Barabas domagali się przyjęcia tej odrębności za zasadę przy odnowieniu ugody. Jednocześnie hr. Wojciech Apponyi, widząc tak wielkie skutki agitacyi Banffy'ego i licząc na to, że one podkopią gabinet Tiszy, nabrał otuchy, postanowił wrócić do życia politycznego, ale zreformować stronnictwo narodowe, aby ono stało się wojującem. Dziś stanął on przed swymi wyborcami w Jaszberenyi. Pierwotnym jego zamiarem było złożyć mandat i wyjaśnić, dlaczego to czyni. Chciał wykazać, że wszystko w kraju znajduje się na fałszywej drodze, ale ponieważ on nie może na to poradzić, przeto umywa ręce. Lecz po wyborze w Szegedynie Banffy'ego zmienił to postanowienie: już nie ustępuje, tylko się zabarwia na czerwono, mianowicie wraca do postulatów komitetu dziewięciu. Wiadomo, że ów komitet postawił w kwestyi ustępstw narodowych w dziedzinie militarnej takie żądania, których Korona nie mogła przyjąć. Dodajmy, że choć Szell był prezesem komitetu dziewięciu, ale robiło się tam wszystko, co chciał Apponyi, on zaś przeprowadził życzenia, które przedtem wyłuszczył był w mowie, wygłoszonej z fotelu marszałkowskiego. A zatem, komenda miała być węgierska, umundurowanie wojska inne, niż w Austryi i odmienne sztandary, wreszcie tylko obywatel węgierski mógłby służyć w wojsku zalitawskiem, które nie byłoby stacyonowane po za granicami krajów korony Św. Szczepana, jak znowu wojsko przedlitawskie nie garnizonowałoby na Węgrzech. Te postulaty były naturalnie odrzucone przez Koronę. Upadł Hedervary, przyszedł Tisza ze swym własnym programem, w którym pozostał zaledwie cień żądań Apponyi'ego. Nietylko obóz liberalny przyjął program Tiszy, ale nawet kossuthowcy zadowolili się tą „okruszyną". To właśnie Apponyi nazywa fałszywą drogą. Teraz zatem, gdy Banffy postanowił rozbić ekonomiczną wspólność Austro-Węgier, wydało się Apponyi'emu, że uda mu się rozbić wspólność wojskową. Wrócił więc do swych postulatów, a znajduje poparcie w usposobieniu tych sfer, które popierały strejk kolejowy, a pogniewały się na Tiszę o to, że dla złamania strejku sprowadził austryackie bataliony kolejowe. Tak tedy teraźniejszy gabinet ma już dwóch namiętnych przeciwników: Banffyego i Apponyiego. Obaj będą podkładali podeń szowinistyczne miny, a kossuthowcy, żeby nie utracić popularności, muszą ich popierać, raczej muszą przyswoić sobie ich programy. Już oni to robią, korzystając z tego, że tamci dwaj dopiero tworzą dwa nowe stronnictwa, a oni już niem są.

Pierwszy atak kossuthowców na wspólność celną szczęśliwie odparł minister handlu Hieronymi, wykazawszy bardzo gruntownie, że następstwem odrębności celnej musi być polityka skrajnie protekcyjna, gdyż inaczej koszta ceł zapłaci ludność węgierska, życie podrożeje, a przemysł krajowy upadnie. Protekcya celna wpłynie bardzo dodatnio na przemysł, który jednak zawładnąwszy wewnętrznym rynkiem, przestanie się rozwijać. Natomiast rolnictwo odrazu upadnie, ponieważ nie podlega żadnej wątpliwości, że Austrya wysoko ocli węgierskie produkta rolnicze. Wywody Hieronymiego przekonały ogromną większość sejmu. Ale to dopiero początek wojny; kossuthowcy z pewnością nie liczyli na zwycięstwo od jednego zamachu, szło im tylko o zaznaczenie, iż nie są mniej patryotyczni od Banffyego, jak przy sposobności to samo pokażą Apponyiemu.

Ten madyarski szowinizm wyszedł dotąd na korzyść Chorwacyi. Dobiła się ona znacznych ustępstw w dziedzinie finansowej.

Podkomitet komisyi regnikolarnej właśnie ukończył swą pracę i postanowił ważne zmiany na korzyść Chorwacyi. Nowością jest to, że wszelkie skarbowe dochody, pobierane gdziekolwiekbądź w państwie, ale pochodzące z wytwórczości chorwackiej, będą zapisywane w części na dochód Chorwacyi, czego dotąd nie było. Dochody konsumcyjne, z loteryi klasowej, z podatku transportowego i t. d., ponieważ pobierane są w Peszcie, przeto szły w całości do węgierskiego skarbu. Teraz 8·12% tych dochodów będzie szło do skarbu chorwackiego, nadto zaś do kwoty, jaką utworzy ów procent, co roku będzie się dodawało z ogólnej sumy dochodu jakąś cząstkę, nie większą jednak od 5% kwoty wynikającej z 8·12%-ego odpisu. Jeżeli wszakże dochody z owych podatków będą tak wielkie, że trzeba będzie dać Chorwacyi dodatek większy niż 5%, to ta reszta pójdzie na zmniejszenie bezpośrednich podatków w Chorwacyi. To jednak nie wszystko, bo odtąd Chorwacya nie będzie płaciła na te cele ogólno państwowe, z których nie ciągnie żadnego zysku; a zatem do kwot, łożonych przez rząd węgierski na popieranie przemysłu, na urząd statystyczny, na geologiczny instytut, na górnictwo, na ministeryum wyznań i sprawiedliwości Chorwacya nie będzie się przyczyniała. Lecz i to jeszcze nie wszystko, bo odtąd na wszystkie inwestycye i na oprocentowanie pożyczek inwestycyjnych Chorwacya będzie jedynie tyle dawała, ile rzeczywiście wypadnie na nią z tytułu korzyści, jakie będzie miała z owych inwestycyj.

Są to ogromne zyski, które wyciągnęła Chorwacya, korzystając z madyarskiego szowinizmu. Czy Węgry całkowicie się wyodrębnią od Austryi, to jeszcze kwestya przyszłości, ale tymczasem Chorwacya zdołała powiększyć swą odrębność.

Proces „banku królowej".

Dla dynastyi Hohenzollernów niemiła sprawa powstała w Berlinie, a jest ona przedmiotem tak żywego zajęcia w całych Niemczech, jak żeby nic innego nie działo się na świecie. Przed trybunałem karnym toczy się w pruskiej stolicy proces, wytoczony dwóm dyrektorom upadłego „banku pomorskiego", tajnym radzcom komercyalnym, kawalerom orderu czarnego orła Schultzowi i Romeickowi. Oskarżono ich o nader liczne spekulacye giełdowe, niedozwolone przez statuty banku, o jakieś czynności tajemnicze, o dawanie łapówek, wogóle o takie czyny, które doprowadziły bank do bankructwa; było ono dość długo pokrywane przez tych dyrektorów fałszywymi bilansami i sztucznym kredytem, aż wreszcie krach banków hipotecznych odsłonił ruinę banku pomorskiego. Jednak uratowały go jakieś potężne wpływy: bank zreorganizowano, podparto jakiemiś rusztowaniami, zmieniono dyrekcyę i uspokojono akcyonaryuszy. Bank tedy istnieje, ale dawni jego dyrektorowie poszli pod sąd. Tu znowu działo się coś dziwnego. Bo oto sprawę skrachowanych banków hipotecznych już dawno rozpatrzono, a dyrektorów nie ominęła zasłużona kara, natomiast dyrektorowie banku pomorskiego Schultz i Romeick zawsze wychodzili cało, dzięki względności prokuratoryi. Tyle jednak w końcu zgromadzono przeciwko nim dowodów, że musiała prokuratorya wytoczyć im proces, który się właśnie teraz odbywa i dostarcza publiczności silnych wrażeń.

Bank pomorski spełniał dzieło prusko-patryotyczne. Na Pomorzu robił tajnie to, co w Wielkopolsce jawnie czyni komisya kolonizacyjna: gdzie było można, wystawiał na licytacyę ziemię kaszubską, nabywał ją i następnie sprzedawał Niemcom. Rząd mu w tem pomagał, dając potajemnie bezprocentowy kredyt w banku państwowym. Obchodziło się przytem bez wszelkich aktów; sprawa była znana tylko dyrekcyi banku pomorskiego i ministrowi rolnictwa Podbielskiemu. To już dostatecznie tłómaczy opiekę rządu nad tym bankiem. Ale było jeszcze coś innego. Dyrektorowie Schultz i Romeick doskonale wiedzieli, że cesarzowa jest gorliwą protestantką i że budowanie kirch w miejscowościach niedość protestanckich jest jej ulubionem zajęciem. Pomagał jej w tem ochmistrz dworu baron Mirbach. Kto dawał komitetowi cesarzowej na budowę kirch, ten już był dobrze zapisany u dworu. Otóż Schultz i Romeick, mając na sumieniu sporo nielegalnych operacyj, stojąc na czele rozchwianego banku, dali z funduszów jego komitetowi cesarzowej 600 tysięcy [illegible] ofiara była tak ukryta w księgach, [illegible] ukryli jej ani członkowie rady nadzorczej, ani później członkowie komisyi likwidacyjnej. Dopiero następny dyrektor banku Budde, brat ministra kolei państwowych, doszedł po długich badaniach, że ta pozycya była ukryta w rubryce „popieranie interesów banku". Udał się więc do barona Mirbacha z zapytaniem, czy komitet cesarzowej nie mógłby zwrócić tej sumy, lecz odpowiedziano mu, że to jest niemożliwe, bo pieniądze już wydano na budowę kirch. Tymczasem nie bank pomorski, lecz jego nieuczciwi dyrektorowie, ze szkodą właśnie tego banku, ciągnęli moralne korzyści ze swej ofiarności, bo skoro tylko w sferach finansowych pojawiała się pogłoska o złych interesach banku, wnet jego dyrektorowie otrzymywali albo tytuł, albo order, a ponieważ takie odznaki dawane są zwykle ostrożnie, przeto finansiści brali pogłoski o chwianiu się banku za plotkę i dalej mu kredytowali. Kiedy już z nim było bardzo źle, otrzymał on tytuł „banku królowej" — i to znowu go podtrzymało na czas pewien.

Wykryło się to wszystko podczas teraźniejszego procesu i oczywiście napełniło żółcią tych, którzy uwiedzeni zaszczytami, jakie spadały na dyrektorów, za długo kredytowali bankowi. Z widoczną też antidynastyczną tendencyą nazywają w Niemczech ten proces „sądem nad bankiem królowej". Ci i owi przypominają przy tej sposobności pamiętny proces o naszyjnik francuskiej królowej Maryi Antoniny, kupiony wrzekomo dla niej przez kardynała Rohan, oszukanego przez znaną wówczas oszustkę de la Motte. Królowa Marya Antonina o niczem nie wiedziała, nic nie była winna, a jednak rewolucyonista Frétau de St. Just zawołał: „Wielka i wspaniała nowina! Kardynał oszust, a królowa wplątana w sprawę o fałszerstwo. Ileż tu błota na pastorale i na berle! Co za tryumf dla idei wolności!"

Niemało i dziś takich St. Justów, którzy zacierając ręce mówią z powodu procesu banku pomorskiego: „Wielka i wspaniała nowina!" Ale cóż winna cesarzowa? Brała ofiary na cele godziwe, a że protegowała ofiarodawców, nie przekonawszy się, czy oni są warci zaszczytów, to już nie jej wina, lecz tych dworzan i urzędników, którzy powinni byli gruntownie zbadać, czy Schultz i Romeick warci są tytułów i orderów, a czy bank pomorski może się nazywać „bankiem królowej". Dziwno tylko jedno: dlaczego cesarzowa, choćby z własnych funduszów, nie zwróciła tych 600 tysięcy marek nowemu dyrektorowi banku pomorskiego p. Budde? Proces wcale tego nie wyjaśnił.

Pius X.

Profesor Stanisław Tarnowski, który brał udział w niedawno odbytej pielgrzymce polskiej do Rzymu, opisuje w *Przeglądzie polskim* wrażenia z tej pielgrzymki. Bardzo wiele uwagi poświęca on przedewszystkiem charakterystyce Ojca świętego. „Po pierwszych zaraz słowach — pisze hr. Tarnowski — jakiemi Pius X przemówił, było powszechne i zgodne w świecie katolickim wrażenie: „Musi w nim być wielka dobroć i wielka prostota". Im dalej, tem to wrażenie utwierdzało się i rozszerzało: to nie jest tylko prostota słowa, to jest prostota i jasność umysłu, wrodzona niewątpliwie, ale i oświecona, podniesiona, światłem wiary, bożego ducha, łaski. Po krótkiej rozwadze odkrywało się, że ten Papież nie zmienia stanowiska swoich poprzedników w sprawach i stosunkach świeckich, politycznych, ale nie chce tych spraw wysuwać naprzód: jego wzrok zwrócony jest przeważnie na wewnętrzne sprawy Kościoła, na jego wewnętrzny stan. Znać to bierze za swoje zadanie główne, za program swojego panowania, żeby się tak po świecku wyrazić. Przed kilkunastu laty, za jednej z pielgrzymek do Leona XIII, zdarzyło nam się słyszeć z ust jednego znakomitego w Rzymie zamieszkałego duchownego cudzoziemca słowa następujące: „Niech Bóg daje najdłuższe życie temu Papieżowi; ale po jego śmierci następca będzie musiał zająć się przedewszystkiem wewnętrznemi sprawami Kościoła". Pius X spełnia to życzenie, czy tę przepowiednię. Wszystkie jego kroki, wszystkie rozpoczęte czynności, każą w nim widzieć niby biskupa odbywającego inspekcyę swojej uniwersalnej dyecezyi, przyglądającego się pilnie co i gdzie mogłoby potrzebować naprostowania lub podparcia. Z tem nabytem wyobrażeniem jechało się do Rzymu. Jak się ono potwierdzi? w czem się i jak uzupełni? Jechało się przedewszystkiem ze szczerego popędu i przekonania, z potrzeby tego, co dawne wieki nazywały złożeniem *obedyencyi* nowemu Papieżowi: ale łączyła się z tem i ciekawość — nie czcza i płocha bynajmniej, owszem poważna i z głębszych powodów płynąca — co się tam zastanie, co się tam zmienić mogło, w jakim kierunku i w jakiej mierze?

Przyjezdnego na samym wstępie witał i uderzał fakt jeden: Pius X jest wielkiem zajęciem umysłów, pierwszym przedmiotem wszystkich rozmów i pytań: Rzymianie i *forestieri* od niego zaczynają i na nim kończą swoje uwagi, czy spostrzeżenia. Leon XIII już zasunął się w cień, słyszy się o nim mało: aż dziwno i aż przykro temu, kto przywykł o nim myśleć i podziwiać go. Ale ta przykrość ustępuje i nagradza się na widok uszanowania i przywiązania, z jakiem ludzie mówią o następcy Leona. Wszyscy: nie katolicy tylko, tutejsi czy obcy, ale bliscy Kwirynału, ale uczuciami i wyobrażeniami złączeni z królestwem włoskiem, ale wielcy panowie, jak prości wyrobnicy. Pius X jest popularny: rzecz dziwna, zważywszy wyjątkowo trudne położenie i stosunki. Czem on tak ludzi ujął i do siebie pociągnął? Przedewszystkiem niewątpliwie swoją dobrocią, sercem otwartem i łaskawem dla wszystkich. Kiedy Papieżowi przedstawiały się po kolei wszystkie parafie miasta Rzymu, przez długi szereg niedziel, on do każdej miał naukę, kazanie w dziedzińcu San Damaso. Ludzie bogatsi i oświeceńsi widzieli to ze zdziwieniem, ale z naturalnem uszanowaniem: ale lud rzymski widział to z radością i wdzięcznością i odrazu przylgnął do łaskawego, przystępnego Papieża. Co dziwniejsze, to, że sfery dworskie i urzędowe okazują usposobienie zmienione, lepsze. Pius X nie odstąpił w niczem od kierunku wytkniętego przez Piusa IX i Leona XIII, nic nie uznał, na nic nie przystał, nie okazał się skłonnym do żadnego kompromisu. A jednak prasa włoska, zależna od rządu, czy nie (z wyjątkiem tylko otwarcie wolno mularskiej i radykalnej), wyraża się o nim z uszanowaniem, uprzejmie. Stosunek się nie zmienił, zasadniczo wszystko zostało, jak było: ale usposobienie jest zmienione, miększe, nie tak naprężone, jak było. Miejscowi i świadomi przypisują to w wielkiej części znowu dobroci i przystępności Papieża. Pius X nie zamyka Watykanu przed ludźmi w urzędowych stanowiskach: senatorowie, deputowani, damy dworu mają do niego przystęp, którego im Leon XIII nie dozwalał. Ale silniejszy może powód tej zmiany tkwi w samym obecnym stanie Włoch. Ze śmiercią Zanardellego niema ani jednego wolnomularza w rządzie: pozostali ministrowie są w najgorszym razie nienawistni względem Kościoła, a niektórzy są katolikami szczerze. To jeden powód. Drugim jest bardzo znaczny wzrost sił katolickich. Stowarzyszenia katolickie różnego rodzaju, nietylko pobożne i dobroczynne, ale zawodowe, przemysłowe, rzemieślnicze, mnożą i szerzą się w sposób zadziwiający. W jednej prowincyi Bergamo obejmują trzydzieści sześć tysięcy ludzi — i wyborców. Te cyfry imponują rządowi i dają mu do myślenia: a socyalistyczne i anarchiczne zapędy i cele dają mu do myślenia także. Wszystko to wpływa na zachowanie się rządu włoskiego względem papiestwa: a Papież ułatwia to zachowanie się postawą, jaką przyjął: nic nie zmienia, nic nie ustępuje w kwestyach zasadniczych, ale nie wysuwa ich naprzód, a dla ludzi jest łaskawy. Włosi mówią o nim z tego powodu, że choć niewątpliwie nie jest rozumniejszy od Leona XIII, to jest od niego praktyczniejszy: a ujęci jego dobrocią, czują jednak dobrze, że ona nie jest miękkością, ani giętkością. *C'est un homme bon, mais ce n'est pas un bonhomme* i istotnie pod tą dobrocią kryje się stałość i śmiałość. Mówią, że nikt nie umie lepiej, jak Pius X, odmówić stanowczo, bez regresu, jednem słowem, żądaniom choćby dworów i ambasadorów, jeżeli te żądania w jego przekonaniu nie godzą się z dobrem Kościoła. W organizacyi Kościoła kroki ciche, spokojne, ale znaczące, doniosłe i nadewszystko praktyczne, godzące prosto w cel i skutek".

Opisując audyencyę u Ojca świętego, taką kreśli prof. Tarnowski sylwetkę Piusa X: „W białej sutannie, bez żadnego innego stroju, posuwa się ruchem krzepkim, ale powolnym: staje za każdym krokiem, nad każdą głową robi znak krzyża, każdy chyli się do pocałowania ręki. Jak wygląda? Niektórzy mówią, że przypomina Piusa IX: Nam wydało się, że raczej niższy od niego, cieńszy, lżejszy i prędszy w ruchach. Nie ma tych wielkich czarnych oczów, które błyszczały w głowie Piusa IX, ani wydatnego zgarbionego nosa, jak tamten. Rysy są raczej drobne; twarz na wiek raczej młoda, wskazywałaby co najwięcej lat 60, a jest ich 68. Charakter całej postaci — to powiedzielibyśmy spokój, pogoda i dobroć. Oczy — nie wiem doprawdy jakiego koloru — są pełne wyrazu, patrzą uważnie, głęboko i łaskawie, prawie rzewnie. Myśli się o Leonie XIII, o tem wrażeniu, jakie on robił swoją powierzchownością, a które Sienkiewicz oddał jak nikt: „Ciało wydawało się widmem, złudzeniem, a duch rzeczywistością, czemś widomem i dotykalnem." Tego wyjątkowego i poetycznego charakteru postać Piusa X nie ma: ale patrząc na niego tylko kilka minut, cóż dopiero mówiąc z nim, doznaje się wrażenia odmiennego, ale bynajmniej nie niższego. Wzruszenie udziela się z tych oczów o głębokim wyrazie, z głosu, który drga uczuciem, ze słów, spokojnych, a łaskawych i ważnych, i wzruszenie obejmuje człowieka. Czuje się on przed duchem od siebie wyższym, mądrym i świętym, a ojcowskim, miłościwym, opatrznym. Artysta mógłby powiedzieć, że Leon XIII był więcej poetyczny i malowniczy: ale katolik czuje się owładniętym przez Piusa X niemniej jak przez tamtego."

Na pytanie, „co czuł, co znalazł Polak w Watykanie za nowego Papieża?" — odpowiada prof. Tarnowski: „Znalazł ojcowskie serce, znalazł znajomość swoich stosunków, a uczuł się podniesionym na duchu i pociągniętym do osoby Ojca św."

Dalej wyjaśnia prof. Tarnowski znaczenie słów wypowiedzianych przez Piusa X do pielgrzymów polskich, poczem wypowiada kilka ogólnych uwag o znaczeniu pielgrzymek polskich do Rzymu.

„Częste dziś pielgrzymki — pisze prof. Tarnowski — mają dobry wpływ i przynoszą pożytek: ich stosunkowa łatwość, ich powtarzanie zacieśnia węzły między Stolicą Apostolską a dalekimi wiernymi, stosunek staje się żywszym, pamięć trwalszą, potrzeba ciągłego i żywego stosunku lepiej rozumianą i lepiej myśli przytomną. W dawniejszych wiekach i jeszcze do połowy XIX wieku, nieszczęściem było Kościoła w Polsce, a po części nieszczęściem społeczeństwa i jego spraw świeckich, że byliśmy tak daleko od Rzymu, tak luźnie i miękko z nim złączeni, tak mało jemu znani i nawzajem tak mało o nim wiedzący. Jeżeli od lat jakich trzydziestu jest znaczna i szczęśliwa pod tym względem zmiana, jeżeli katolickie uczucie więcej niż dawniej wspiera się i wzma

24)

Feljeton literacki.

(*„Siena"* Kazimierza Chłędowskiego).

(Ciąg dalszy).

U Gwida i Margaritana Madonna pozbyła się szat bogatych, sukień szytych klejnotami, ma welon na głowie i długi płaszcz, jak włoskie mieszczanki, a tylko tu i owdzie artysta pozwala sobie dodać jakąś złotą ozdobą. Dopiero późniejsi Sieneńczycy znowu wprowadzają do obrazu Madonny bogactwo, złoto i klejnoty.

Madonna tych toskańskich primitiwów jest kochającą matką, wzbudzającą zaufanie ludu, jest ową mater amabilis, jak ją słusznie nazwała kościelna archeologia, matką pełną słodyczy, którą wielbić, przed którą serce swe wynurzyć można.

Rola już tak była przygotowaną, że potrzeba było tylko genialnego człowieka, aby na niej piękne wyhodował drzewo. Tym talentem był Duccio di Buoninsegna, Sieneńczyk z rodu i w Sienie osiadły.

Pan Chłędowski w słowach pełnych zachwytu wielbi działalność Duccia, jako pioniera nowej epoki t. zw. epoki gotyckiej i polemizuje zawzięcie z Vasarim, który laury należne Ducciemu wcisnął na skronie Giotta i Cimabuego. W tej polemice idzie autor — zdaniem hr. Pinińskiego — nawet za daleko i staje się niesprawiedliwym dla Giotta. Hr. Piniński we wspomnianej już raz przez nas krytyce „Sieny" nie zgadza się również z tem twierdzeniem p. Chłędowskiego, jakoby słynny obraz Madonny Rucellai w St. Maria Novella we Florencyi był dziełem Duccia a nie, jak sądził Vasari — Cimabuego.

Obraz ten jest dużych rozmiarów. Madonna siedzi na wspaniałym tronie, trzymając Jezusa na lewem kolanie; sześciu aniołów podtrzymuje tron, jak gdyby go z nieba znosząc na ziemię, stawiali. Motyw to piękny i nowy, wprowadzający ruch i życie w obraz, który nawet Rafael później w swej Madonni Sykstyńskiej naśladował. W bizantyńskich obrazach stali aniołowie przy tronie Matki Boskiej sztywnie, nieruchomo, jak dworacy cesarscy. Madonna w czerwonej tunice i ciemniejszym płaszczu tego samego koloru, ma wyraz twarzy pełen dobroci i miłosierdzia, bardzo odmienny od współczesnych bizantyńskich typów, bardzo indywidualny. Jezus, widocznie malowany z natury, chociaż jest najmniej archaiczną postacią w całym obrazie, przecież razi cokolwiek brakiem dziecięcego wyrazu w twarzy, zwłaszcza, że spogląda na widza, nie na matkę. Tron Madonny, udrapowany białą materyą, przetykaną we wzory złocisto-niebieskie, różni się bardzo od ciężkich tronów bizantyńskich, wysadzanych drogiemi kamieniami, i będących dziełem złotnika, a nie stolarza; tron ten jest już stolarską robotą, a i pod tym względem jest już zajmujący, że znać w nim gdzieniegdzie gotyckie wpływy. Cały ten obraz o żywych barwach musiał robić wesołe, miłe wrażenie, a ta pogoda tem bardziej go różniła od ponurych bizantyńskich malowideł i od tych groźnych krucyfiksów, które jeszcze Giunta zawieszał po kościołach. Jutrzenka innego świata zabłysła w dziele Duccia, które się stało wzorem dla całych artystycznych pokoleń.

Otóż p. Chłędowski, opierając się na najnowszych badaniach uczonych Wickhoffa i Richtera, przysądza ten obraz Ducciemu, i popiera to swoje zdanie, wykazując podobieństwa między Madonną Rucellai a Madonną Maestà na „ankonie" znajdującą się w katedrze sieneńskiej, a będącą niezaprzeczenie dziełem Duccia. Hr. Piniński pisze o tych wywodach Chłędowskiego nieco sceptycznie w sposób następujący:

„Mojem zdaniem, nowsi trochę zanadto śmiało lubią „poprawiać" Vasarego co do dat, które nam podaje, a specyalnie ma to miejsce i w tym wypadku. Poszedł jednak za tym prądem i autor. Mnie wywody jego nie przekonują. Wprawdzie w kaplicy Rucellai jest o wszystkich porach dnia tak ciemno, że trudno malowidło przestudyować, ale nie mogę przyznać, by podobieństwo tej Madonny ze znaną ankoną Duccia w Sienie było tak wielkie, by się wbrew opinii Vasarego musiało koniecznie obie prace temu samemu przypisać artyście. Różnicę wybitną w tem mianowicie upatruję, że w Madonnie Rucellai mają tak dziecko, jak i aniołowie, trzymający tron, bardzo wiele ruchu, choć niezgrabnie wykonanego, — podczas gdy w Madonnie Duccia i dziecko jest całkiem spokojne i wszystkie postacie do koła Madonny są jakby pogrążone w cichej, spokojnej kontemplacyi".

Zamówienie na obraz, o którym mowa, otrzymał Duccio od Sieneńczyków w r. 1308. Obraz ten miał być umieszczony w ołtarzu, który postawiono Madonnie z wdzięczności za zwycięstwo pod Montaperti. Za pracę swoją miał Duccio otrzymać 3000 florenów w złocie, sumę na owe czasy bardzo wielką, której część rząd Rzeczypospolitej zaoszczędził w ten sposób, że przez pewien czas zmniejszył liczbę robotników pracujących około wykończenia katedry. Blisko trzy lata pracował mistrz nad amboną, a gdy ją w r. 1311 ukończył, powszechnie wielkie wywołał wrażenie. Kronikarz sieneński, Agnolo di Tura, nazywa ją najpiękniejszym obrazem, jaki kiedykolwiek widziano, po Sienie zaś jeden głos się rozszedł, że takiego dzieła żaden jeszcze malarz nie stworzył. Dzień 9-go czerwca 1311 był dla Sieny pamiętnem uroczystem świętem. Ukończony ołtarz przenoszono z muzyką w procesyi z mieszkania artysty do katedry. Zamknięto sklepy i warsztaty, bito w dzwony, cała ludność zaległa ulice. W uroczystości sam tylko Duccio nie brał udziału, tak bowiem miał zniszczone odzienie, że mu wstyd było iść za procesyą ulicami i zwracać uwagę na swoją biedę. Biedak nie mógł wybrnąć z długów, które mu kilka razy przysporzyły nawet kary ze strony sieneńskiej Signorii, bo w Sienie panowała wówczas drobiazgowa równość wobec prawa, nie chroniąca nawet najznakomitszego obywatela przed skutkami ustawy.

Rozmiary Madonny na owej ankonie, podobnie jak w ołtarzu Rucellai, są o wiele większe, aniżeli otaczających ją osób; tradycya to greckiej i rzymskiej sztuki, która postaci bogów nawet wielkością od ludzi odróżnia. Tron, na którym Madonna spoczywa trzymając Jezusa na lewem ramieniu, podobnie jak tron Modonny Rucellai przypomina raczej prace rzymskich marmorariów, niż bizantyńskie sprzęty. Sama Madonna poważna, ale pełna słodyczy. Płaszcz, który spływa od głowy aż do stóp, układa się w tak miękką draperyę, jakby był malowany według modelu. Jezus, zdaniem autora, bardzo podobny do Jezusa w obrazie Madonny Rucellai. Grupy świętych, mężczyzn i kobiet, klęczące symetrycznie po obydwu stronach, postacie rozumne, sympatyczne, po większej części nienaśladowane przyczyniają się do podniesienia powagi całego obrazu. Szczególną pięknością odznaczają się św. Agnieszka i Agata, przewyższające co do urody wszystkie niewieście typy, jakie włoscy artyści stworzyli w tej nowej epoce malarstwa. Szlachetne twarze aniołów mają wyraz głębokiej adoracyi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ga katolickiem przekonaniem, jeżeli wyrabia się w nas znajomość i zrozumienie istoty Kościoła, a ustala się i szerzy świadomość koniecznej z nim łączności, to przyczyniły się do tej zmiany (oprócz innych starań i zabiegów biskupów i duchowieństwa) także te pielgrzymki, które wiernych z różnych stron Polski sprowadzają do stóp Papieża. Daleki obwód katolickiego koła silniej ciągnie do jego środka, środek silniej przyciąga do siebie tych co są na obwodzie, kiedy ich może widzieć na oczy i łatwiej, w większej mierze może im z siebie siły udzielać. Płynie żywszy, pełniejszy prąd uczuć, pragnień, wynurzeń i próśb, z obwodu do środka: pamięci, znajomości, wniknienia w potrzeby, opieki, ze środka do obwodu. Do środka płyną, skupiają się w nim wierne uczucia, troski, boleści: z niego rozchodzą się promienie wiary, otuchy, łaski. Jedne i drugie płyną i krzepią się w gorętszej, silnie przejmującej wzajemnej miłości. Te promienie, które z watykańskiego środka rozchodzą się na cały świat katolicki, rozchodzą się zapomocą pielgrzymek i pielgrzymów. Każdy z nich przenosi w swojem sercu ślad doznanych wrażeń i uczuć żywiej obudzonych, przechowuje go w sobie, udziela innym do koła siebie, a przynajmniej udzielać może i powinien.“

Gody życia.

Ostatniem dziełem znakomitego naszego pisarza Adolfa Dygasińskiego były — jak wiadomo — „Gody życia“. Rozrzucone w licznych szkicach, nowelach i monografiach obrazy, obserwacye i myśli, zebrał Dygasiński w jedną uporządkowaną całość i stworzył wspaniałą epopeę przyrody. W epopei tej objął, podobnie jak Reymont w epopei chłopskiej, cały rok życia przyrody, więc zimę, wiosnę, lato i jesień.

Jak w latarni czarnoksięskiej przesuwa się przed oczyma czytelnika puszcza, od jej ocknienia wiosennego począwszy aż do wypoczynku zimowego. Widzimy ją całą, jej radości i smutki, jej wesele i rozpacz, jej miłość i głód. W barwny gobelin życia przyrody whaftował Dygasiński gusła, zabobony, legendy i zwyczaje ludzi, zrosłych z puszczą.

Zaczął swoją epopeę od obrazu zimy.

Śnieg spowił ziemię w biały całun, zamknął wszystkie źródła pożywienia dla mniejszych, słabszych mieszkańców lasu, a większym, mocniejszym, utrudnił polowanie. — Okrutny głód wtargnął do puszczy, bezlitosny, jak mróz. Kto żyje — cierpi, przemyśliwa o chlebie. Niektórzy jęczą, klną, złorzeczą stworzeniu.

Jastrząb przepędził noc zawieruszną w polu, między lasami, na starej gruszy. Ptakpanosza, nieustannie żyjący na stopie wojennej, witeź potężny, istny margraf na rubieżach, przywykły do zmiennej kolei losów, czeka spokojnie na haracz, jaki mu puszcza codziennie składa.

Nie tak motłoch leśny, krzykliwe wrony, sejmikujące na jodłach. Kręcą się niecierpliwie na gałęziach, a płeć żeńska przemawia męskiej:

— Od czegoż wy jesteście, głowy rodzin, żupanowie gromad, wodzowie drużyn wronich? Głód targa nasze wnętrza, szarpie nam trzewia. Niechże się przecie który z was ruszy i przepatrzy, co, gdzie i jak jest na świecie.

I ruszył się, by rozpatrzyć się po świecie, stary samiec, wysłany na zwiady przez całą gromadę. Głowacz to niepospolity, mąż stanu zawołany, ogromnie biegły w rozbieraniu wszelkich zawiłych spraw wewnętrznych i zewnętrznych. Przedewszystkiem wybornie odróżniał kij w rękach ludzkich od każdego oręża zabójczego dla ptaków. Następnie odgadywał na rzut oka wszelką złość skrytych zamiarów człowieka, i nigdy, przenigdy nie dałby się omamić pozorom udanej dobroduszności. Przytem posiadał sąd zdrowy o rzeczach, który wiódł go zawsze najprostszą drogą do żeru. Mistrz istny, kiedy szło o zmylenie matki-gęsi lub kwoki-kury, odznaczał się jednocześnie bezczelnością i takiem zuchwalstwem, że wydzierał psu z gardła kawałki padliny.

Takiego to mądralę i zuchwalca wysłały wrony na zwiady. Skierował on oczywiście lot swój ku mieszkaniom ludzkim, jako doświadczony bowiem statysta wiedział, że gdzie tylko przebywa skrzętny człowiek, tam można zawsze znaleźć jakieś pożywienie. Lecąc, rozmyślał: Przecież to czyste niepodobieństwo, ażeby podczas zimy tak ciężkiej nie zdechł gdzie jaki baran chorowity, albo szkapa dychawiczna. A rozmyślając tak, kręcił ciągle mądrą głową, zwracał oczy to na dół, to na prawo, to na lewo; łeb chodził mu, jak na zawiasach.

Kiedy stary wroniec rozglądał się z góry po okolicy, brnął na dole, przez zaspy śnieżne na polu, biedny zajęczyna, utykając jak chromy. Chadzał za chlebem w noc mroźną, okrutną i szczęście mu nie dopisało. Może go jaki kundel, grubijanin napadł i skrzywdził, może miał przeprawę z lisem, podstępnym kitą i, zamiast chleba, zyskał tylko guzy, bo ledwie powłóczył, chudziak, spracowanemi, zmęczonemi skokami.

Dostrzegł go odrazu czujny wroniec i spuścił się natychmiast na ziemię, aby dobić cherlaka. Łykając ślinkę, szedł pieszo na spotkanie zajączka. Palnie go mocnym dziobem w jedno oko, w drugie oko oślepi nędzarza, a potem rozszarpie, jak padlinę.

I zaczęła się bitwa. Wroniec atakował dziobem, zając bronił się łapkami.

Lecz wysłaniec wroni zapomniał, że nad okolicą czuwa jej pan właściwy, jastrząb-rycerz, rozglądający się z wysokiej gruszy-baszty po swojem dziedzictwie. Ucho wojownika pochwyciło wrzawę bitwy. Ktoś tam walczy bez niego, zabiera może haracz, należny jemu. Więc rozwinął skrzydła potężne, wyleciał i z wysokości badał przyczynę zgiełków. Przystanął w powietrzu, oblany światłem różowem słońca wschodzącego, i wkrótce wiedział już wszystko. Oburzyło rycerza zuchwalstwo plebejusza. Jakiś cham śmie polować w jego rewirze... Trzeba go nauczyć rozumu.

Spadł jastrząb na przerażonego wrońca.

W sposób tak barwny, obrazowy odmalował Dygasiński bezwzględność walki o byt, zawsze okrutnej, a w zimie zajadłej, dochodzącej do szaleństwa. Głód podwaja dzikość, odwagę i siły zwierzęcia. Nigdy nie czuje się słaby wobec silniejszego tak bezradnym, niedołężnym, tak okropnie opuszczonym, jak w nędzy.

Ale lody pękają w końcu, śniegi topnieją, nad ziemią idzie powiew ciepły, wonny. Wiosna wstępuje do puszczy.

Już okryły się drzewa niektóre listkami drobnemi, na innych połyskują pącze, pełne nadziei, we wszystkich zaś obiega bogactwo twórczych soków życia. Tajemnicze siły wzrostu grają w miazgach. Pierwsze kwiatki wiosny złocą się, modrzą, bielą, rumienią po lasach i smugach. U krynic, u jeziorzysk sity, wodorosty, trawy, zioła puściły pędy szmaragdowe. Młodziutkie kwiaty świerków czerwienią się wśród gąszcza igliwia ciemnozielonego. Bór z każdym dniem wydycha więcej woni żywicznej i balsamu brzeziny, łozy, topoli. Ziemia zmienia się nieustannie, codziennie zrzuca szatę wytartą, szarą, zapleśniałą, staje się piękną, wielmożną w każdym swoim spłachciu. Święci ona teraz wschody i zachody słońca, kwiatami żegna i wita kochanka jasnego — słońce — pieśniami ptaków czaruje i w ciągu dnia całego opowiada baśni o rozkoszach miłości. Wietrzyk ciepły roznosi tajemnicze szepty szczęścia po zaciszach świata, igra z liśćmi i motylami nowo narodzonemi. Niebo, rozmiłowane w ziemi, z lubością spogląda swym błękitem na jej wdzięki, z rumieńcem szczęścia odchodzi wieczorem i przybywa rankiem wczesnym.

Tak prześlicznie ustroił Dygasiński puszczę na przyjęcie miłości. Bo teraz zaczyna na ziemi miłość swoje gody, swoje pieśni, swoje nadzieje. Pani Wenus rozkazuje w lasach, w rzekach i jeziorach. Dokoła kipią: rozpusta, szały, namiętności, wybuchy serc tkliwych, aż las szumi i wody się pienią. Czuć miłość w powietrzu. Kto ma uszy do słuchania, ten słyszy wyraźnie: kochać, kochać, kochać!

Ale biada szaleńcom, tarzającym się w rozkoszach miłości, bo nie sama tylko miłość rządzi stworzeniem żywem. Głód nie złożył swojego berła okrutnego u stóp rozmarzonej bogini. Pochłania on codziennie swoje ofiary, moloch, nigdy nienasycony. Pieśń miłości zrywają od czasu do czasu krzyki trwogi, bólu, jęki konania. Śmierć nie odpoczywa i na wiosnę. Pracuje ona, morduje bez wytchnienia.

Postrachem borów jest przedewszystkiem smok, potwór skrzydlaty, — puhacz ohydny. Spędza on cały dzień w wydrążeniach skał, albo w gąszczach liściastych, przytulony do pnia drzewa. Posępnie napuszony, drzemie wśród jasności dnia z oczyma nawpół otwartemi, a dokoła niego wrą zgiełki życia.

Słońce zachodzi jaskrawo, ostatnimi promieniami żegna szczyty drzew, garby skał najwynioślejszych. Wieczornica złota wystąpiła na niebo i zda się z lubością spogląda na bory ogromne, których cienie nakrywają ziemię płachtą nocy przedwczesnej. Kukułka rzuca światu zamroczonemu dobranoc, wrony zakrakały po raz ostatni, gwar dzienny ucichł. Ćma gruba zalegała parowy i wertepy między skałami, gąszcze gajów młodych. Opary białe wisiały rozpięte nad polami, nad rzeką, jeziorem i mokradłem. Lelek na nizinach rozpoczął pracę, nietoperz zarysował się przed borem. W górze — niebo gwiaździste, na padołach — otchłanie ciemności.

Teraz rozpoczyna się panowanie puhacza. Już od godziny niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Drapał się szponem po szyi, układał płaszcz na sobie, ziewał, przeciągał się, a oczy zaczęły mu gorzeć, jak latarnie. Z upragnieniem wyczekiwał swej pory. Ciemność i cisza przybyły nareszcie. Tylko głos świerszcza i niezmęczony nigdy szmer strumieni mąciły milczenie nocy, kiedy opuszczał schronienie dzienne. Zatrzepotał skrzydłami, otrząsł się na ciele, potem lekko, bez żadnego szelestu, wyleciał i usiadł na wierzchołku skały, panującej nad doliną.

Straszliwe, okropne: „U-hu-huuu!“ — zahuczało nad borem. To szatańskie „u-hu-huuu“ urąga światu, drwi z życia śmiechem biesowskim i wyzywa je do boju.

Na znak, dany przez puhacza, wychodzą z kryjówek swoich wszyscy skrytobójcy lasu, wszyscy podli mordercy, skradający się do ofiary pod osłoną nocy. Wilk i ryś wyruszają na grabież, posłyszawszy hasło, borsuk opuszcza norę, kot z oczyma świecącemi czai się pod krzakiem, lis słuchem i węchem bada, dokąd ma iść na polowanie. A żubry i łosie rozstawiają czaty czujne, jeleń i sarna pierzchają bez pamięci z kniei do kniei, ptaki dzienne, ocknąwszy się ze snu, ogarnięte zewsząd ciemnością, drżą w trwodze śmiertelnej; niektóre tracą zupełnie przytomność, więc uciekają na oślep, aby marnie zginąć, wpaść w paszczę nocnego zbója.

Ale noc mija, dzień świta, światło zwycięża — wycie potwora milknie. Ptaki — niepomne, że noc czarna znowu nastąpi — śpiewają radośnie, aż się bór trzęsie. Jedna połowa życia jest szczęściem, druga cierpieniem...

I tak ciągle w kółko.

Po wiośnie odtworzył Dygasiński lato — czas znoju, po lecie jesień. W żadnem z dzieł swoich nie rozrzucił tylu przepysznych krajobrazów (nie tych „malowanych“, robionych, któremi się przeciętni czytelnicy zwykle zachwycają, lecz żywych, wyrwanych ze wspaniałego albumu przyrody), w żadnem nie rozsiał tylu brylantów poezyi, ile w „Godach życia“.

I język, dawniej czasami oschły, zaniedbany, nabrał w tej epopei przyrody barwy, dźwięku, siły. Malowniczy i jędrny, przypomina on męską prozę pisarzy złotego wieku.

I — rzecz szczególna — nawet pesymizm, naturalny u przyrodnika i pozytywisty, złagodniał nieco w „Godach życia“.

Dygasiński nie sprzeniewierzył się i w swoim testamencie artystycznym zasadom, lecz jego pesymizm stracił w „Godach życia“ cierpkość, gorycz. Zmienił się on w cichy, serdeczny żal do okrutnych praw przyrody. Zamiast złorzeczyć, przeklinać, skarży się miękko, przez łzy.

Kiedy wroniec napada na zająca, autor modli się: Bóstwa jasności, czyż zając musi ginąć dlatego, że jest słaby, biedny i żarłoczność nań czyha?

Albo na innem miejscu: czy kwiat cnoty dlatego jest tak cudownie piękny, że szlachetni cierpią i giną?

Albo jeszcze: „Nic to nie znaczy, że złe przypadki, nieszczęścia chodzą po świecie. Trzeba nieraz zginąć, aby innym utorować drogę do zwycięstwa — umrzeć, aby dobrej sprawie życia zapewnić przyszłość. Umiesz kochać — umiej walczyć, cierpieć i umrzeć. Byt doczesny bez tego przykazania byłby marny, pozbawiony uroków wiary i nadziei. Cierpią słabi, ale cierpią i mocni, bo są jeszcze mocniejsi od nich“.

Na tyle rezygnacyi nie byłby się był autor „Niezdary“ i „Głodu i miłości“ nigdy zdobył. By złagodzić obrazy pesymistyczne, jakie przyroda ciska sama codziennie przed oczy uważnego obserwatora, wprowadził on do „Godów życia“ drobną ptaszynę — mysikrólika, który nie traci nigdy humoru, w doli czy niedoli! Zawsze wesoły, zadowolony ze wszystkiego, z zimy i wiosny, z lata i jesieni, zawsze równy — panuje on nad grozą, nad bezwzględnością praw przyrody.

O komunie.

Dwaj belletryści paryscy bracia Margueritte skreślili w czterech powieściach upadek Napoleona III, walkę z Niemcami i wojnę domową. Ostatnie ich dzieło pt. „Komuna“ zamyka ten cykl historyczny.

Podobne utwory zajmują w literaturze to samo miejsce, co panorama w malarstwie. Byleby dały widzom pewne złudzenie rzeczywistości, więcej się od nich nie wymaga. Rolę tłómacza, objaśniającego w panoramie znaczenie płócien, przesuwających się przed oczyma publiczności, odgrywają w powieści braci Margueritte różne postacie, których spostrzeżenia o wypadkach bardziej zajmują czytelnika, niż przypisane im czyny, ponieważ nikt nie bierze ich bohaterów: Ponceta, Martina, Thedeneta za prawdziwych działaczy. Autorowie czerpią fakta głównie z dzienników i gazet sądowych. Kronikę zdarzeń ożywiają uwydatnieniem dramatyczniejszych epizodów. Jak panoramy najczęściej grzeszą nieudatnością typów, a podobają się wdziękiem krajobrazu, tak w „Komunie“ braci Margueritte całość widnokręgu większe sprawia wrażenie, niż poszczególne sceny.

Autorowie mniemają, że miesiące, które upłynęły od lipca 1870 r. do czerwca 1871 r., stanowią odrębną, zamkniętą w sobie epokę. Tom swój dedykują zwycięzcom i zwyciężonym Komuny, braciom-wrogom, pojednanym w śmierci i zapomnieniu.

Jest w tem pierwsze złudzenie. Dosyć przeczytać paryskie dzienniki, aby się przekonać, że dalecy tam są od zgody i zapomnienia. Teorye, w których imieniu wybuchła Komuna, ciągle się ścierają, stronnictwa nie są mniej namiętne. Z żyjących aktorów owego czasu, Rochefort i Clémenceau nie są nastroju pokojowego.

Autorowie, wpatrując się w objawy zewnętrzne tej burzy społecznej, nie pojęli ani jej przyczyn, ani doniosłości. Widzą oni w Gambecie bohatera obrony narodowej, w Thiersie Machiavela, który pragnął obficie krew puścić Francyi dla łatwiejszego poddania jej Niemcom. Komuna, w oczach braci Margueritte, była walką zorganizowanych sił przeszłości z mętnemi energiami przyszłości. Męty przeważały może jeszcze energię; sofizmaty rewolucyjne przeszłości górowały nad przeczuciami nowej ery. Gambetta w gruncie nie chciał przedłużenia wojny; troszczył się jedynie o zachowanie pozorów dla utrzymania swojej popularności. Wśród strasznej wojny domowej usunął się na bok, używał przyjemności kąpieli morskich w Saint-Sebastien, przewidując, że zginą szczersi od niego trybuni, a ich pogromcy znienawidzeni będą od ludu, jedni więc i drudzy zostawią mu wolne pole. Gotował się już do roli delfina Thiersa. Thiers znów nie życzył sobie wywoływać rzezi, lecz opierał się z całej siły przejściu władzy z rąk mieszczaństwa do proletaryatu. Na okrucieństwa w poskromieniu Komuny wielkie światło rzucają niedawno ogłoszone pamiętniki jednego z jenerałów pruskich, z których wynika, że Thiers obawiał się zrazić Prusaków litością, ciągle im powtarzał, iż żadnego z wichrzycieli nie ułaskawi. Prusakom zależało na tem, aby im wypłacono miliardy i odstąpiono prowincye, a Komunę uważali za niepewnego bardzo wierzyciela.

Komuna zresztą nie była przejęta żądzą prowadzenia dalszej wojny i wyrzucenia Niemców za Ren. Przywódcy jej próbowali skorzystać z niedołężności warstwy rządzącej, aby ją obalić i wznieść gmach nowy na gruzach starego. Niestety, każdy przynosił plan innej przyszłej budowy; nic dziwnego, że kraj, przeświadczony, że Komuna dobrze nie wie, czego chce, nie poszedł za nią.

Sama nazwa Komuny malowała zamęt pojęć w owej chwili. Mnóstwo rzemieślników miało tak ścieśniony widnokrąg, że po za granicami Paryża nic nie widzieli; domagali się, aby gmina Paryża o sobie tylko myślała, a inne gminy Francyi niech postąpią, jak się im podoba. Obecność wojsk nieprzyjacielskich na terytoryum francuskiem zdawała się im drobnostką, nad którą nie warto było się zastanawiać.

Thiers, dla zapobieżenia niebezpieczeństwu, aby Komuna nie pociągnęła za sobą prowincyi, urządził specyalne biuro wiadomości fałszywych, więc donoszono departamentom o urojonych mordach, piłowaniu jeńców wojennych między dwiema deskami, o założeniu min w ściekach paryskich i t. d. Taktyka ta przyczyniła się do zaciekłości w pogromie Komuny. W naczelnikach ruchu pewność, że zwycięzca nie da się przebłagać, wywołała wściekłość niesłychaną: mordowali ohydnie zakładników, podpalali gmachy publiczne i t. d.

Olbrzymie katastrofy wyradzają potworności moralne, pozbawiają chwilowo naród skarbów duchowych, przekazanych mu przez wieki. Francuzi n. p. gotowi są życie swoje narażać dla wyciągnienia z wody kota, którego właściciel rzucił do rzeki, a jednak zaraz po upadku Napoleona III odegrały się sceny oburzającej dzikości. Bracia Margueritte opisują jedno z podobnych zdarzeń, z którego można było wróżyć, jakie barbarzyństwa splugawią wkrótce stolicę. Ktoś krzyknął na jakiegoś przechodnia, że to szpieg; rzucono nieszczęśliwego do wody; umiał pływać i dotarł do brzegu, więc ciskano na niego kamieniami, jak na psa wściekłego. Tłum zebrał się niezmierny, ciekawie przypatrując się widowisku. Nikt nie próbował ratować ofiary tego ślepego gniewu, ani opamiętać widzów.

Iluż z tych samych widzów pędzono później po błocie, związanych, wśród obelg i zniewag innego rodzaju gapiów! Na więźniów Komuny czekała w Wersalu śmietanka towarzystwa. Pastwiono się nad tymi nędzarzami, czarnymi od kurzu, zgłodniałymi, spragnionymi. Panie wystrojone pluły im w twarz, próbowały im parasolkami oczy wykłuć, krzyczały, że trzeba im paznogcie wyrywać! Bracia Margueritte przemilczają, że znalazło się kilku odważnych dla głośnego zaprotestowania przeciw takim wybrykom, chociaż omal nie utracili przytem życia.

Bracia Margueritte cieszą się, że Francya po takich wstrząśnieniach przywróciła u siebie porządek i bogaci się nanowo.

„Piękny to — piszą — przykład energii, ale poprawa materyalna niczem jest bez moralnej. Trzeba nasze samolubstwa stopić w ogniu nowej moralności“.

Autorowie bardzo ogólnikowo tłómaczą, jaka ma być owa nowa moralność, która w duszach wskrzesi poczucie obywatelskie i zamiłowanie obowiązku.

Dzieło ich kończy się na przechadzce zimowej dwóch bohaterów powieści po ogrodzie Luksemburskim. Patrząc na gałęzie, obnażone z liści, „myślą o soku, krążącym we wnętrzu drzew, i o wiecznej pracy“. Nie sądzimy, aby rozmyślania nad sokiem drzew były wielką pociechą dla ludzi, w których wieczna praca, zamiast odbywać się sama w sobie, potrzebuje ciągłych wysiłków z ich strony i wytkniętego celu. Pomimo jednak licznych usterek i nużącej rozwlekłości, dzieło to jest bardzo czytane. Tylu jest ludzi, którzy studyują historyę jedynie w powieściach i, jak krocie Francuzów, znają Henryka III i Ludwika XIII jedynie z romansów Aleksandra Dumasa, tak wielu z nich dzieje nowożytne Komuny bada z książki Pawła i Wiktora Margueritte'ów.

Wojna rosyjsko-japońska.

(Ze źródeł rosyjskich).

Petersburg 14 czerwca. Urzędowy telegram jenerała Charkiewicza do sztabu jeneralnego z 12 czerwca opiewa: W ostatnich trzech dniach nie zaszła żadna zmiana położenia wśród wojsk, dyslokowanych w pobliżu stacyi Wafanku. Straże przednie staczają ciągłe potyczki. Usiłowania Japończyków, aby spędzić nasze posterunki na południe od stacyi Wafantien, udaremnili kozacy. Na zachodnim brzegu półwyspu Liaotung panuje spokój. Od czasu do czasu pojawiają się okręty japońskie, lecz do wybrzeży nie zbliżają się. Japończycy nie ruszyli dalej z Siujan, lecz oszańcowali się w tej miejscowości.

(Ze źródeł japońskich).

Londyn 14 czerwca. Z Niuczwangu donoszą, że dnia 12-go bm. o północy Rosyanie zaatakowali oddział japoński pozostawiony w Pulantien, celem powstrzymywania pochodu rosyjskiego na południe. Japończycy udając odwrót, pociągnęli za sobą Rosyan, a sprowadziwszy ich w niekorzystne położenie, zmusili do potyczki, w której Rosyanie mieli stracić 800 ludzi. Rosyanie cofnęli się w stronę Kajczu.

Tokio 14 czerwca. Jenerał Oku donosi, że liczba zabitych rosyjskich żołnierzy, znalezionych w okolicy Naoszao (pod Kinczu), a pogrzebanych z honorami przez osobną japońską wojskową komisyę, wynosi 10 oficerów i 664 żołnierzy. Oprócz tego przedtem już przeszło 30 poległych Rosyan Japończycy pochowali na pobojowisku.

Londyn 14 czerwca. *Times* donosi: Liczba Rosyan, znajdujących się w japońskich szpitalach, wynosi 546, w tem 19 oficerów.

Londyn 14 czerwca. Do *Times'a* donoszą z Tokio: W pierwszym dniu subskrypcyi na drugą wewnętrzną pożyczkę japońską, subskrybowano w miastach: Tokio, Ozaka i Jokohama 86 milionów jenów. Cesarz sam subskrybował znów 20 milionów.

Niuczwang 14 czerwca. Biuro Reutera donosi pod datą 13 czerwca, godzina 12 w nocy: Około 2.000 rosyjskiej piechoty, przybyłej od strony Kaiczu, przeszło dziś nad ranem przez Niuczwang z wielkimi zapasami żywności. Rosyanie porzucili zajmowane przez nich dotychczas stanowisko w oddaleniu 8 mil ang. na południe od Niuczwangu.

Z izby sądowej.

Lwów 14 czerwca.

(Zawodowi krzywoprzysięzcy).

Przed paru laty zawiązała się we Lwowie szajka, która postanowiła zdobywać środki do życia krzywoprzysięstwem. Jeden z szajki zgłaszał zwykle pretensye o jakąś kwotę do pierwszej lepszej osoby, z którą miał jakąkolwiek styczność, a reszta tego dobranego towarzystwa podana na świadków stwierdzała pod przysięgą słuszność pretensyi. Wprowadzeni tym sposobem w błąd sędziowie wydawali zwykle wyroki zasądzające pozwane osoby. Na szczęście przy jednej z rozpraw wyszła prawda na wierzch i członkowie szajki: Józef Wolski, Izak Parnes, Berl Schaffer, Jonasz Freundlich i Maurycy Kugel — stanęli wczoraj przed tutejszym sądem przysięgłych, oskarżeni jeden o krzywoprzysięstwo, inni o oszustwo. Wszyscy prawie byli już karani za kradzież, oszustwo i inne przekroczenia. Do winy się nie przyznają. Rozprawa potrwa parę dni.

* * *

Przemyśl, 14 czerwca.

(Morderstwo w celu rabunku).

Przed trybunałem przysięgłych rozpoczęła się tu wczoraj rozprawa przeciwko Franciszkowi Pelcowi, 21 lat liczącemu zarobnikowi, i szwagrowi jego, Jakóbowi Ziębie, zarobnikowi, liczącemu 27 lat, żonatemu. Oskarżeni są oni o zbrodnię rozbójniczego, skrytobójczego morderstwa, popełnionego w sam dzień Nowego Roku na karczmarzach z Chłopic: Seligu i Reisli Englach. Morderstwo dokonane było w następujący sposób:

W nocy z 31 grudnia na 1 styczeń b. r. począł ktoś do drzwi karczmy kołatać. Zbudzili się wszyscy, a Selig zapalił świecę i z alkierza, gdzie sypiał z żoną, wyszedł do szynkowni i drzwi otworzył. W tej chwili wpadło do karczmy dwóch chłopów. Jeden z nich zadał silny cios karczmarzowi, tak, że ten padł prawie bez jęku na ziemię, drugi rzucił się do alkierza i zamordował Reislę. Poczem zrabowali karczmę i uciekli. Służąca karczmarza Wruchówna, która, ratując się ucieczką, cudem jakoś ocalała, poznała w jednym z napastników, Franciszka Pelca. Z obawy przed nim nie wydała wprawdzie przed żandarmami jego nazwiska, ale tak go opisała dokładnie, że odrazu domyślono się, kto to był. Później aresztowano szwagra jego, Ziębę, a dopiero, gdy już obadwaj byli zamknięci, i Wruchówna przestała obawiać się zemsty, zeznała, że jednym z napastników był na pewne Franciszek Pelc. Rozprawa potrwa kilka dni.

KRONIKA.

Lwów 14 czerwca.

Spadek po ś. p. Romanowiczu. Dzienniki liberalne i demokratyczne zastanawiają się już nad tem, kto ma objąć spadek po śp. Romanowiczu. Jest bowiem do nadania mandat z miasta Lwowa do Sejmu i do obsadzenia posada w Wydziale krajowym. Owoż o mandat starają się pp. Dulęba, Głąbiński, Aszkenazy, Lilien, wszyscy czterej jako demokraci; a także p. Laskownicki redaktor *Nowego Wieku* zamierza kandydować nie jako demokrata, ale jako ludowiec. O posadę zaś w Wydziale krajowym starają się: pp. Rutowski, Rotter i Leo.

Opowiadanie morderczyni. Batkówna, morderczyni p. Boguckiej, opowiedziała wczoraj przebieg morderstwa w słowach następujących:

„Od 1 czerwca miałam opuścić służbę u p. Boguckiej i przenieść się na nową służbę przy ulicy Szewskiej. Służbę wypowiedziałam na tydzień przed pierwszym i pani wypowiedzenie przyjęła. W dniu 1 czerwca z rana wyprawiła mnie pani o godz. 8 do miasta. Kiedym powróciła, zażądałam książeczki służbowej. Pani książki wydać mi jeszcze nie chciała, ale kazała robić porządki i sprzątać, a kiedym to wszystko zrobiła, przyszła pani do kuchni, i zobaczywszy moje rzeczy spakowane, kazała mi kuferek otworzyć. Nie chciałam tego zrobić dlatego, że bałam się, aby pani nie znalazła tam swoich rzeczy i sukien, które podczas nieobecności pani z rana zabrałam i w kufrze ukryłam. Oprócz rzeczy, było tam jeszcze 30 koron w złocie, które wzięłam z szafy.

„Kiedy usiadłam na swoim kufrze i broniłam do niego przystępu, pani pochwyciła siekierę, chcąc podważyć wieko kuferka. Wtedy ja porwałam za siekacz kuchenny i kiedy pani była schyloną nad kuferkiem, uderzyłam ją nim po głowie. Pani rzuciła się z krzykiem i porwała za pogrzebacz, aby się nim zasłonić, wtedy rypłam ją jeszcze parę razy tym siekaczem, aż upadła na ziemię. Pomimo wielkiego krzyku pani i mojego, nikt całego zajścia nie słyszał.

„Zostawiłam ją wtedy na ziemi, zabrałam moje rzeczy i książkę służbową, zamknęłam mieszkanie i udałam się na Zwierzyniec. Tam się przebrałam, pojechałam do Płaszowa, a stamtąd wsiadłam do pociągu do Oświęcimia i pojechałam do Ostrawy.“

Pan Krzeczunowicz przed wyborcami. Z Rohatyna donoszą, że komitet wyborczy odbył tam tymi dniami zgromadzenie pod przewodnictwem posła na Sejm krajowy p. Mikołaja Torosiewicza. Ponieważ dotychczasowy poseł z tego okręgu, p. Mogilnicki, okazał się niegodnym zaufania wyborców, ponieważ zamiast godzić narodowości — waśnił je, bawił się w demonstracye, jak naprzykład złożenie mandatu itd., przeto uchwalono jednogłośnie popierać kandydaturę p. Krzeczunowicza z Bołszowiec, którego też komitet przedstawił na owem zgromadzeniu wyborcom. W mowie programowej wypowiedział p. Krzeczunowicz, iż będzie dążył do podniesienia miłości braterskiej między Polakami a Rusinami, do zniesienia nadużyć w wymiarze podatku gruntowego i osobisto-dochodowego, do poprawienia doli nauczycieli ludowych, oraz doli włościaństwa i t. p. Mowę jego przyjęli wyborcy z oznakami wielkiej sympatyi i zadowolenia. (*Patrz „Wybory“*).

Konkursa rozpisują: Wydział Rady powiatowej w Kolbuszowej na posadę lekarza okręgowego z siedzibą w Sokołowie z płacą roczną 1.000 K. i ryczałtem na objazdy w kwocie 400 K. Podania do 30 bm. — Lwowski senat akademicki na ośm stypendyów po 400 K. rocznie z fundacyi ś. p. Edwarda Pawła Czabana dla uczniów Uniwersytetu lwowskiego. Podania do 30 czerwca. — Wydział krajowy we Lwowie na miejsce funduszowe w Theresianum w Wiedniu. Podania do 5 lipca.

Z konserwatoryum galicyjskiego Towarzystwa muzycznego. Doroczny konkurs publiczny uczniów, ubiegających się o nagrodę, odbędzie się we środę dnia 22-go czerwca o godzinie 4-tej, w sali Domu narodnego. — Obok abituryentów klas fortepianowych, śpiewu solowego i skrzypiec, przypuszczeni będą do tej produkcyi hors concours uczniowie roku przedostatniego tychże klas, tudzież klasy kompozycyi. Ta okoliczność niewątpliwie obudzi zajęcie się tak samą produkcyą, jak i szkołą konserwatoryum, której uczniowie biorą w niej udział.

Nowy kościół we Lwowie. W niedzielę odbyło się poświęcenie miejsca pod kościół parafialny w Zamarstynowie, do którego będą także należały wsi: Hołosko wielkie i małe. Parafię tę wezmą w zarząd O. O. Kapucyni. Dnia 1 września br. stanie na błoniach zamarstynowskich prowizoryczny kościół i klasztor O. O. Kapucynów, a w roku 1905 rozpocznie się budowa murowanego klasztoru i kościoła pod wezwaniem św. Franciszka z Assyżu. Przeorem i rządzcą parafii będzie O. Rudolf z Kutkorza.

Samobójstwo. Z Kołomyi donoszą, że odebrał tam sobie życie przez powieszenie 23-letni słuchacz praw, Zenon Głuszkiewicz, syn nauczyciela szkoły ludowej.

Przygoda Luegera. Gdy burmistrz m. Wiednia Lueger po wczorajszej uroczystości przeniesienia zwłok Jana Straussa i Józefa Lannera do grobu honorowego, wracał do powozu, rzuciła się na niego jakaś kobieta z podniesionym parasolem, wołając: „Dwanaście lat czekam już na pana; teraz mam pana!“. Jak się zdaje, jest to osoba umysłowo chora.

Z Krakowa donoszą: Międzynarodowa komisya dla regulacyi Wisły ukończyła tu wczoraj swe prace i podpisała protokół, dotyczący regulacyi Wisły i Sanu, oraz większych dopływów.

Rada miejska odrzuciła nowo opracowany przez komisyę budżetową projekt progresywnego podatku czynszowego i poleciła magistratowi wygotowanie odmiennego projektu z zachowaniem 2% minimalnego podatku od czynszów do 600 koron, z progresyą do 10%.

Krakowskie Towarzystwo rolnicze uchwaliło reformę statutu swego. Wieczorem odbył się obiad. Wczoraj obradowały sekcye rolnicza i gorzelniana. Dziś sekcya budowlana i rolnicza i drugie pełne posiedzenie.

Spalona gmina. W Maleniskach w pow. brodzkim wybuchł tymi dniami ponownie pożar, który zniszczył dziewięć gospodarstw z żywym i martwym inwentarzem. Z całej gminy ocalało od ognia podczas tych dwóch pożarów tylko sześć chałup. Namiestnictwo wysłało pogorzelcom 500 K.

Pielgrzymka do Kochawiny odbędzie się 26 b. m. W sprawie tej wydał X. arcybiskup Bilczewski pismo, które odczytano z ambon kościołów lwowskich. Wspomniał w niem X. arcybiskup o znaczeniu niedawno odbytej pielgrzymki do Rzymu. Z powodu jednak odległości Wiecznego miasta i wielkich kosztów, połączonych z tą pielgrzymką, nie wszyscy mogli w niej uczestniczyć. Aby więc jak najwięcej osób ze Lwowa mogło uczcić Niepokalanie poczętą, X. arcybiskup postanowił urządzić pielgrzymkę do najbliższej nam Kochawiny i naznaczył na nią dzień 26 b. m. Osobny komitet, złożony z kapłanów i osób świeckich, zajmie się zorganizowaniem pielgrzymki. Pierwszym celem jej jest złożenie hołdu Niepokalanej Dziewicy, a drugim uproszenie u Boga za przyczyną Najśw. Panny liczniejszych powołań do stanu kapłańskiego i wytrwania w powołaniu. Pismo X. arcybiskupa kończy się udzieleniem błogosławieństwa pasterskiego. Bilety do Kochawiny można otrzymać w zakrystyi kościoła OO. Jezuitów.

Z Kałusza piszą: Za przykładem innych miast zainteresowano się także i u nas budzącym się coraz silniej ruchem przemysłowym. Dnia 7 bm. odbył się w sali tutejszej Rady powiatowej wiec przemysłowy, pod przewodnictwem Dra A. Wursta. Referat o potrzebie obrony i rozwoju naszego przemysłu wygłosił kierownik Biura Ligi pomocy przemysłowej p. Olszewski. Po dyskusyi, która się nad referatem rozwinęła, uchwalono zawiązać towarzystwo „Pomocy przemysłowej“, a w tym celu wy-

brano Komitet organizacyjny, w którego skład weszli: Dr. A. Wurst, jako przewodniczący; panie: Groblewska, Mielnikówna, Poluszyńska i Schulmanówna; panowie: Barzykowski, Bednarczuk, Berin, Czechowicz, Guss, Jakubsze, Kosacz, Majer, Marek, Mühlstein, Rojowski, x. Rożański, Serafin, x. Siczyński, Sobota, Dr. Stanecki, Dr. Witlin, Żaworski.

Uchwalono także zająć się sprawą obesłania przez tutejszych przemysłowców wystawy w Stanisławowie, zapowiedzianej na wrzesień b. r.

Jarmark wyrobów krajowych. Organizacyę handlową sprzedaży towarów na jarmarku wyrobów krajowych — którego otwarcie — jak już donosiliśmy, odbędzie się w sobotę, 19 b. m. o godzinie 5 po południu — objął z ramienia dyrekcyi jarmarku, p. Aleksander Lewicki, szef firmy Kazimierza Lewickiego, właściciela składu porcelany we Lwowie.

Listy składkowe na jarmark należy od dziś nadsyłać do biura Komitetu przy ul. Tańskiej l. 1. Zgłoszenia o wyznaczenie miejsc na jarmarku przyjmowane będą do dnia otwarcia jarmarku.

Poczta, telegraf i telefon mieścić się będą w pawilonie sztuki (pierwsze drzwi po lewej stronie w westybulu).

Wstęp na miejsca siedzące w czasie przedstawień rozmaitych teatrów oznaczył komitet po 40 hal., na koncerty zaś muzyczne po 20 hal.

Dla wygody publiczności ustawionych zostanie na placu powystawowym 20 ławek, 4-metrowej długości. Za każde miejsce pobierać będzie delegowana przez komitet osoba 4 hal.

Produkcye chóru akademickiego odbywać się będą co soboty od godziny 7 — 8, chóru robotniczego zaś co niedzieli. Nadto śpiewać będzie w ciągu trwania jarmarku kilka razy chór szkoły wydziałowej im. Kordeckiego.

Kółko amatorskie Tow. gimnastycznego „Sokół“ dawać będzie co piątku przedstawienia, których początek oznaczono na godzinę 6 wieczorem.

Zmarli. W Warszawie Tadeusz Żelazowski, syn Romana i Adeli Żelazowskich, artystów dramatycznych. Pogrzeb odbędzie się we Lwowie we czwartek z głównego dworca na cmentarz Łyczakowski. W ś. p. Tadeuszu stracili państwo Żelazowscy ostatnie swe dziecko.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 14, w poł. + 20. Bar. 768. Spada. Pogoda.

Zakochany.

Panna: Oto pański kapelusz...

Młodzieniec: Ach, na cóż mi on, kiedy siedząc obok pani zupełnie straciłem głowę...

Uwaga polityka.

W parlamentach współczesnych panuje zwykle doskonała akustyka — słychać tam wybornie wszystkie głosy, nie słychać tylko głosu ludu.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś we wtorek „Wenecya w Paryżu,“ czyli „Podróż p. Dunanan ojca i syna,“ operetka w 4 a. Offenbacha. — We środę po raz pierwszy „Cudowne dziecko,“ czyli „Trzysta dni,“ krotochwila w 3 a. Pawła Gavault i Roberta Charvey, tłómaczył Jarosław Pieniążek.

Teatr ludowy. Dziś we wtorek „Spudłowali,“ komedya w 1 a. Zalewskiego i „Żaki,“ operetka w 1 a. Hoffmana. — We środę „Wujaszek,“ kom. w 1 a. K. Zalewskiego i „Żaki,“ operetka.

Literatura i sztuka.

* **Alfred Konar: Oazy.** Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904.

P. Konar napisał swego czasu bardzo dobrą powieść pt. „Panny Malinowskie“, w której w sposób drobiazgowo realistyczny odmalował kłopoty rodzin mieszczańskich, mających córki na wydaniu. Życie filistrów — to żywioł, w którym p. Konar porusza się najswobodniej; a chociaż traktuje on swoich powieściowych ludzi z pewną pobłażliwą ironią, przecież ta ironia nie jest zdolna omylić czytelnika co do właściwych sympatyj autora. Ma on w sobie coś, co go łączy z tymi filistrami, co go skłania do przejmowania się ich losem, apoteozowania ich maluczkich nieszczęść i przyjemności. To samo mamy i w „Oazach“. Żadnych idei, żadnych lotów i żadnych spadań, wszyscy myślą o karyerze, zabawie, wyjściu za mąż lub dobrym ożenku. Autor patrzy na los ludzki tylko z jednego punktu widzenia: czy są oni szczęśliwi, czy nie? Inne kwestye, prócz kwestyi szczęścia zdają się go nie obchodzić. Stąd charakterystyczny tytuł jego powieści „Oazy“. Czy są na tym padole płaczu oazy szczęścia, czy nie? Odpowiedź brzmi niepewnie. Raz autor zdaje się odpowiadać: są, zdarzają się, i to wtedy, kiedyby się ich najmniej spodziewano, przy okolicznościach bardzo nieznacznych; to znowu przechyla się do przekonania, że oaz nie ma, bo ludzie sami sobie wciąż życie zatruwają i nawet na willegiatury przywożą swoje małostkowe wady i kaprysy.

W „Oazach“ uwydatnia się jeszcze inna cecha powieści Konara, którą zresztą i po poprzednich utworach znać było. Oto chociaż autor dla swych osób wymyśla nazwiska polskie, kreśli jednak społeczeństwo żydowskie. W Strudze, na willegiaturze, żyją letnicy z nazwiskami na „ski“, jednak sposobem rozmawiania, flirtowania, bawienia się, aspiracyami przypominają izraelicką burżuazyę, bawiącą w Jaremczu lub Mikuliczynie. Są bowiem pewne subtelne cechy, odróżniające życie towarzyskie wyższych klas żydowskich od tego życia, jakie prowadzą Polacy na tym samym stopniu społecznym. Nie mówimy tu o tak drastycznych różnicach, jakie np. swego czasu wziął sobie za cel żartów *Śmigus*, wprowadzając postać Balsambauma do literatury humorystycznej — takie różnice zacierają się coraz bardziej, a przynajmniej dzięki naszej tolerancyi nie bywają dostrzegane. Ale mówimy tu o tej przesadzie w manierach towarzyskich, o tych drobnych przekroczeniach taktu, które człowieka dobrze wychowanego rażą, chociażby ich określić nie umiał.

Naturalnie są i tu wyjątki, większość jednak zachowuje się zwykle tak, że znać na niej niedojrzałość towarzyską, znać niedawną metamorfozę à la Geldhab. Jestto zarazem społeczeństwo kosmopolityczne, bez tradycyi, kształcące się przeważnie na literaturze niemieckiej, stąd pochodzi ta przesadna, wyzywająca szczerość w obcowaniu zwłaszcza obu płci ze sobą, poruszanie na popis tematów erotycznych, nietaktowna poufałość nazywająca się swobodą, ale granicząca czasem z zupełnym brakiem form światowych. Zwłaszcza ani te matki, ani te córki, które przedstawia p. Konar, nie pochodzą z rodzin polskich. Matki puszczają córki samopas z kawalerami, nie troszcząc się o ich konduitę, one zaś flirtują śmiało a przebiegle, polując na własną rękę na mężów. Typem takiej panny żydówki jest bohaterka „Oaz“, nazwana Lolą Bończa Jastrzembską, która przybywszy na wilegiaturę wnet spoufala się z wybrańcem swego serca, niejakim Schmidtem, niemal mu się na każdym kroku oświadcza, tytułuje go „ślicznotką“, porównywa — nie z Konradem — lecz z Faustem. Rozmowa, którą ta panna dobrze wychowana prowadzi ze Schmidtem dopiero co po poznaniu się z nim, charakteryzuje najlepiej maniery towarzyskie ludzi p. Konara. Jest tam jeszcze i inny podobny okaz, panna Dziunia, podlotek, w tym rodzaju, jaki grywa na naszej scenie z powodzeniem panna Jankowska. I ta panienka jest bardzo zuchwała, zwłaszcza w obcowaniu z akademikami, bawiącymi również na willegiaturze.

Tyle o gruntownem *qui pro quo*, o którem nie należy zapominać przy lekturze „Oaz“. Zresztą lektura ta jest trochę nudną, bo p. Konar, chociaż posiada dużo dobrych obserwacyi w zakresie drobiazgów życia, nie umie skomponować interesującej fabuły. Rzecz cała obraca się tylko około pytania, czy Lola Jastrzembska pójdzie nareszcie za swego Tadeusza Schmidta, czy nie; jedyną przeszkodą jest właściwie tylko pani Nacia, adwokatowa z Lublina, niesympatyczna kokietka, która bałamuci owego Schmidta, potem przechodzi do rąk literata-dekadenta Braciszewskiego, nie gardzi jednakże także Sobolewskim, właścicielem willegiatury, rubasznym hreczkosiejem. W grę wchodzą różne plotki, w końcu wskutek anonimu przyjeżdża mąż Naci i zabiera ją z sobą. Tadzio płacze po jej stracie — Lola go pociesza i sama płacze, że on taki nieszczęśliwy po stracie kokietki. Tak daleko idąca sympatya Loli z losami jej ulubieńca jest rzeczą możliwą, ale bynajmniej nie tak chwalebną, jak ją wyobraża autor. Lola jego zdaniem to ideał przyszłej żony i matki, nam zaś przedstawia się ona jako pospolita gęś, tak przytem zmysłowa i nie mogąca się oprzeć urokowi płci przeciwnej, że zapomina zupełnie o godności osobistej. Chyba więc p. Konar chciał nakreślić typ kobiety, stworzonej do życia pod pantoflem męża, nakreślił go z widoczną przyjemnością jako wzór do naśladowania.

O wiele lepiej scharakteryzowaną jest Nacia, nazwana w powieści „lwicą prowincyonalną“, oschła kokietka, istota ani ładna, ani mądra; że mimoto w jej sidła wpada Tadzik, to tem gorzej dla Loli, bo tem bardziej uwydatnia się pospolitość tego młodzieńca. Mając blisko siebie pannę piękną, zakochaną w nim po uszy i jak chce autor inteligentną, kochać się w bezdusznej lalce, pokrywającej brak estetycznych ruchów peniuarami, na to może się zdobyć tylko ów Tadzik, który tak jest o swojej piękności zarozumiałym, że codzień nosi inny krawat.

Technika „Oaz“ jest dość niezwykła, chociaż nieoryginalna. Mianowicie rzecz cała wyłuszcza się w listach, które różne osoby bawiące na wilegiaturze piszą do swych przyjaciół, przyjaciółek, mężów, krewnych, opiekunów itd. Powstaje stąd mozaika listów, zajmująca z tego względu, że nieraz jeden fakt bywa przez różne osoby oświetlany z rozmaitych stron; ta opisuje go biało, a tamta czarno. Szkoda tylko, że te listy są zanadto literackie, gładkie, a za mało charakterystyczne, tam bowiem, gdzie autor próbuje charakterystyki, popada w szarżę i ośmiesza swoje postacie. To też listy jego osób przypominają często zmyślone listy, drukowane w pismach humorystycznych, n. p. gdy żona bawiąc z dziećmi na willegiaturze daje przy końcu swego plotkarskiego listu mężowi różne zlecenia gospodarcze — dowcip stale powtarzający się w „Oazach“.

Najbardziej jednak razi w tej powieści, jak już zaznaczyliśmy, szarzyzna horyzontów; wszystko kręci się albo około zamążpójścia lub miłostek, chociaż powieść radaby się nam nieraz narzucić jako idylla. Panuje tu pewien szczególnie słodkawy materyalizm i ciasnota serca, w czem znowu jest ślad, że mamy do czynienia właściwie ze światem dorobkiewiczów żydowskich, którzy poza swojemi jednostkowymi interesami nie znają szerszych pragnień i ideałów.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 14 czerwca. Na wczorajszy targ spędzono bydła rogatego, przeznaczonego na rzeź, ogółem 5160 sztuk. W tem było z Galicyi 536 sztuk, z Bukowiny 30 sztuk. Przebieg targu był ociężały. Ceny niezmienione. — Niesprzedanych pozostało 53 sztuk. Wołów z Galicyi sprzedano 25 sztuk po 62 do 67 K., 201 sztuk po 68—73, 336 sztuk po 74 do 78, 21 po 79 do 80 K. Buhaje podtuczone bez różnicy pochodzenia kupowano po 74 do 84 koron, krowy podtuczone po 62 do 75 koron, bydło chude po 46 do 72 K. — wszystko licząc za centnar metryczny żywej wagi.

S p o r t.

Pierwszy dzień wyścigów w Krakowie. Relacyę bez komentarzy podaliśmy w poprzednim numerze, choć w połowie biegów tylko po dwa konie startowało. Biegi te były bardzo zajmujące. Pięć z rzędu zwycięstw, zdobytych przez Martinkovicsa na koniach p. Schindlera, w miarę ich przybywania zwiększały entuzyazm, który doszedł do punktu kulminacyjnego, gdy „Gerda“, córka tak dobrze znanej na torach galicyjskich „Gretchen“, w głównym biegu dnia w Jana hr. Tarnowskiego Memorial Stakes pobiła w łatwy sposób „Boska“, reprezentanta stajni p. Drehera.

Najtrudniejszem zwycięstwem pana Schindlera, bo zdobytem po walce zaledwie długością szyi, było zwycięstwo dwulatki „Noris“ nad galicyjskiemi dwulatkami „Mr. Cockiem“ hr. Osk. Potockiego i klaczy „Bez protekcyi“ p. Ostoia-Ostaszewskiego. „Mr. Cock“ wyglądał tak, jak gdyby za późno był wyjechał, a „Bez protekcyi“ biegała pod chłopcem stajennym, który swej ogromnej i ciężkiej maszyny nie umiał zmusić do walki z współzawodnikami, mimo to przyszła do mety tylko o pół długości konia z tyłu. Przypuszczamy też, że jeżeli te konie drugi raz ze sobą biegać będą, to przyjdą do mety w odwrotnym porządku. Wypadków było dwa. Pan Maryan Zangen spadł z koniem o jakie 100 metrów przed ostatnim płotem i złamał sobie obojczyk i jedno żebro, zaś por. baron Eltz spadł z konia na Tribünensprungu we Wielkim Steeple-chase. W tymże biegu niezwykle zwinnym i przytomnym okazał się por. Rauss, który jadąc na „Licho bez szlarki“, wpadł na płot tak fatalnie, że zleciał z konia, nie puścił jednak cugli, a chwyciwszy się siodła, w pełnym galopie wdrapał się napowrót na klacz. To wsiadanie napowrót trwało na przestrzeni kilkuset metrów i nie mogło nie wpłynąć na szybkość galopu. Pan Bartosz nie czekał też na przeciwnika i dobił do mety wśród grzmotu oklasków, mając za sobą daleko zupełnie wyczerpaną i zgniecioną wysoką wagą „Licho bez szklarki“.

Publiczność krakowska, mając w pamięci świetne w tym biegu zwycięztwo „Licha bez szlarki“ temu dwa lata, dużo na nią stawiała, nie zważając na to, że wówczas miała ona najniższą a obecnie najwyższą wagę. Czwarta galicyanka „Wiadomość“ startowała w niekorzystnych warunkach, mimoto przyszła trzecia na sześć koni, odzyskując powoli te długości, które przy starcie straciła.

Dzień drugi wyścigów, a pierwszy klubu jazdy Panów, zapowiada się lepiej. W biegu otwarcia płaskim, zwycięzcą prawdopodobnie będzie „Hejże na Soplicę“. W Steeple koni wierzchowych same prawie nieznane konie będą startowały. Z tych „Hüresz“ ma dobrą reputacyę. W nagrodzie totalizatora „Portos“, w nagrodzie rządowej „Liszka“, w oficerskim Steeple „Caserta“, w biegu z płotami „Wiadomość“ mają najwięcej szans wygranej.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne)

Plan (w zachodnich Czechach niedaleko Chebu) 14 czerwca. Poseł niemiecki S c h e i n e r wygłosił tu w niedzielę na zgromadzeniu wyborców mowę, w której zapowiedział, że w sejmie czeskim, którego sesya dziś się zaczyna, Niemcy prowadzić będą dalej rozpoczętą na poprzedniej sesyi obstrukcyę i nie zaprzestaną jej, póki nie otrzymają rękojmi, że ich narodowy stan posiadania w Czechach nie zostanie w niczem uszczuplony. Zgoda między Niemcami a Czechami może nastąpić tylko wówczas, gdy będą potworzone osobne niemieckie a osobne czeskie okręgi polityczne, sądowe, skarbowe itd., a niemniej osobne dyecezye i parafie. Sejm czeski, w którym Czesi mają większość, wprawdzie na to się nie zgodzi, ale, zdaniem mówcy, dr. Koerber powinien zdobyć się na czyn energiczny i takie rozgraniczenie narodowości przeprowadzić z własnej inicyatywy, a Czesi za lat parę przyzwyczailiby się do nowego stanu rzeczy. Ale mówca nie wierzy w to, żeby rząd dzisiejszy to przeprowadził, dlatego zdaje się, że zatarg czesko-niemiecki nie rychło będzie załagodzony.

Zgromadzenie wyraziło p. Scheinerowi wotum zaufania i pochwaliło stanowisko posłów niemieckich w sejmie czeskim.

Młody Bolesław 14 czerwca. Odbyło się tu onegdaj zebranie mężów zaufania stronnictwa młodoczechów. P. S k a r d a, przewodniczący młodoczeskiego komitetu wykonawczego, wystąpił przeciw żądaniom Niemców co do rozgraniczenia obu narodowości w Czechach. Wprawdzie Czesi nie są zupełnie przeciwni potworzeniu tego rodzaju obwodów narodowościowych, ale wpierw należy uregulować kwestyę językową, a następnie muszą Niemcy odstąpić od żądania, żeby naczelnicy projektowanych obwodów podlegali wprost rządowi centralnemu, lecz mają oni podlegać namiestnictwu w Pradze.

Prócz tego występował p. Skarda przeciw gabinetowi dr. Körbera, który jako złożony z samych Niemców, jest dla Czechów nieprzychylny, i mówił o potrzebie zmiany konstytucyi drogą parlamentarną, w którym to celu Czesi powinni szukać sprzymierzeńców, aby uzyskać wymagane dwie trzecie głosów w Izbie.

Dr. K r a m a r z również występował przeciw dr. Koerberowi, który po pierwszych swych nieudanych próbach doprowadzenia do zgody czesko-niemieckiej stanął po stronie nieprzyjaciół Czechów. Następnie wyraził zdanie, że obstrukcya Niemców w parlamencie po wydaniu rozporządzeń językowych hr. Badeniego pozornie tylko była skierowana przeciw tym rozporządzeniom. W rzeczywistości Niemcy widzieli, że po reformach wyborczych Taaffego i Badeniego na zawsze utracili większość w Izbie posłów i to był powód, że rozpoczęli gwałtowną walkę, a chcąc sfanatyzować do tej walki lud niemiecki, wmówili weń, że rozporządzenia hr. Badeniego ukrócają prawa Niemców. Z tej walki Niemcy wyszli wprawdzie zwycięsko, ale równocześnie dali Czechom do rąk taką samą broń, gdyż udowodnili, że w parlamencie austryackim zorganizowana mniejszość może zapanować nad większością. Mówca zapowiedział, że Czesi dalej będą prowadzili obstrukcyę w Radzie państwa, chociażby państwo szkodę przez to poniosło, bo jeżeli państwo tylko po to istnieje, aby utrzymywać taki rząd, jak d-ra Koerbera, to nie zasługuje na żadne względy.

Praga 14 czerwca. Czescy agraryusze zwrócili się z prośbą do marszałka krajowego, aby zwołał na naradę wszystkie stronnictwa niemieckie i usiłował nakłonić je, by uwolniły od obstrukcyi ustawę o zapomogach dla ludności dotkniętej klęskami elementarnemi. Niemcy dowiedziawszy się o tem, zawiadomili marszałka, że bezwarunkowo żadnej ustawy nie przepuszczą.

Praga 14 czerwca. Stronnictwa niemieckie, z wyjątkiem szlachty wiernokonstytucyjnej, zebrały się wczoraj na naradę i uchwaliły wszystkie szczegóły taktyki obstrukcyjnej. Obliczają, iż obstrukcya liczyć będzie 57 głosów.

Berlin 14 czerwca. Wczoraj przedpołudniem otwarto tu międzynarodowy kongres kobiecy, który potrwa do 18 b. m. Po południu uczestniczki kongresu były na przyjęciu u kanclerza hr. Bülowa i u sekretarza stanu Posadovskiego.

Londyn 14 czerwca. Na wczorajszem posiedzeniu Izby gmin prezydent gabinetu Balfour w odpowiedzi na zapytanie, czy pomiędzy Anglią a Rosyą toczą się układy w sprawie takiego samego traktatu, jak pomiędzy Anglią a Francyą, oświadczył, że pogłoski tego rodzaju są nieprawdziwe.

Berno szwajcarskie 14 czerwca. Rada związkowa postanowiła przedłożyć zgromadzeniu związkowemu projekt utworzenia banku centralnego celem emisyi banknotów.

Paryż 14 czerwca. Jeneralny francuski komisarz na wystawie w St. Louis, Lagrafe, który miał pośredniczyć w znanej sprawie Kartuzów, został telegraficznie powołany do Paryża.

Nowy Jork 14 czerwca. Na dworcu w Minneapolis najechała wczoraj lokomotywa rezerwowa na pociąg wycieczkowy z 700 podróżnymi. Dwa wagony zostały zdruzgotane; wiele osób zginęło.

Tanger 14 czerwca. Według wiadomości, otrzymanej przez tutejszego posła, sułtan zezwolił na spełnienie wszystkich żądań Rajsulego, który w ten sposób zostanie zaspokojony i uwolni jeńców.

(Depesze popołudniowe)

Londyn 14 czerwca. Według dotychczasowych dyspozycyj król Edward pojedzie 23 bm. do Kilonii.

Belgrad 14 czerwca. W rocznicę wyboru króla miasto będzie dekorowane. Po nabożeństwie dziękczynnem odbędzie się pochód hołdowniczy przed konakiem, przyczem burmistrz wypowie mowę. W kilku punktach miasta odbędą się zabawy ludowe. Wieczorem illuminacya.

Berno 14 czerwca. Rada narodowa uchwaliła wczoraj przyłączyć się do rezolucyi, przyjętej już przez radę związkową, a wyrażającej oburzenie z powodu zamachu na rosyjskiego posła Szadowskiego.

Petersburg 14 czerwca. Rosyjska agencya telegraficzna ogłasza, że ze strony powołanej upoważniona jest do oświadczenia, iż pozbawione są wszelkiej podstawy wiadomości, rozpowszechnione za granicą o rzekomym zamachu na cara w Carskiem Siole. (Nie uważaliśmy za właściwe zanotować nawet pogłoski puszczonej w świat przez jedno z pism wiedeńskich, goniących za sensacyą i rozszerzających ciągle najrozmaitsze kłamstwa, że w pałacu carskim w pokoju jadalnym znaleziono jedną machinę piekielną, a w pokoju audyencyonalnym drugą. *Przyp. Red.*).

Paryż 14 czerwca. Inżynier Chabert z powodu rozpowszechnionych o nim pogłosek ogłasza w *Temps* pismo, w którem podnosi: Z końcem r. 1902 oświadczył generalnemu komisarzowi francuskiemu na wystawie w St. Louis, Lagrafowi, że razem z kilku przyjaciółmi chce ofiarować na rzecz republikańskiego funduszu wyborczego 100.000 franków. Lagrafe odpowiedział wówczas, że ministerstwo spraw wewnętrznych nigdy nie przyjmie podobnego daru, niech pieniądze ofiarują republikańskiemu komitetowi dla handlu i przemysłu, co też uczynili pod warunkiem, że nazwiska ich nie będą wymienione. W sprawie Kartuzów wyraził się Chabert do Lagrafa, że gdyby Kartuzi byli mądrzy i corocznie ofiarowali większe kwoty na zakłady dobroczynne, popierane przez rząd, to zyskaliby jego przychylność. To prawdopodobnie powiedział Lagrafe generalnemu sekretarzowi w ministerstwie. W końcu oświadcza Chabert, że nigdy nie był z Kartuzami ani w pośrednich ani bezpośrednich, stosunkach.

Wybory uzupełniające do Sejmu.

Żółkiew. Głosowało 188. Dr. Michał Korol otrzymał 127 głosów, Emil Obertyński 61. Wybrany dotychczasowy poseł K o r o l.

Rohatyn. Głosowało 218. Dr. Andronik Mogilnicki otrzymał 143 głosów, Aleksander Krzeczunowicz 75. Wybrany dotychczasowy poseł dr. Mogilnicki.

Dolina. Uprawnionych 223, głosowało 139. X. Teodor Bohaczewski otrzymał 130 gł., Dmytro Nykołyn 9 gł. Wybrany dotychczasowy poseł X. Bohaczewski.

Rawa ruska. Głosowało 209. X. Mazikiewicz otrzymał 119 głosów, Władysław Górka 91. Wybrany dotychczasowy poseł X. M a z i k i e w i c z.

Zbaraż. Głosowało 139. Dmytro O s t a p c z u k otrzymał 93 głosów, Franciszek Sobolak 45, Tkacz 1 głos. Wybrany dotychczasowy poseł Ostapczuk.

Brody. Głosowało 228. X. Teodor Effinowicz otrzymał 185 głosów, Aleksander Barwiński 43. Wybrany nowy poseł x. Teodor Effinowicz.

Stryj. Uprawnionych 200, głosowało 150. Dotychczasowy poseł, dr. Oleśnicki, otrzymał 140 głosów i wybrany został posłem.

Bohorodczany. Uprawnionych 129, głosowało 118. Jednogłośnie wybrany dotychczasowy poseł B a r a b a s z.

Lisko. Głosowało 231. Antoni Staruch 144, dr. Roman Lenartowicz 87. Wybrany dotychczasowy poseł S t a r u c h.

W o j n a.

Londyn 14 czerwca. Do *Daily Mail* donoszą z Niuczwangu, że potyczka z dnia 12 bm., w której zginęło 800 Rosyan, stoczona została koło Siungtai, dokąd Japończycy ruszyli z Pulantien, aby oczyścić okolicę, zanim wyruszą na Niuczwang.

Nowy Jork 14 czerwca. Potwierdza się pogłoska, że amerykańskie Towarzystwo sprzedało łódź podmorską „Protektor“ Japonii za 50.000 funtów szterlingów. Sprzedaż nastąpiła przed dwoma miesiącami. Łódź ta jedzie obecnie na pokładzie pewnego norwezkiego okrętu jadącego do Japonii. Wiozą ją dwaj amerykańscy fachowcy i podczas drogi zaznajamiają Japończyków ze sposobem użycia tej łodzi.

Tokio 14 czerwca. Z powodu ostrzeliwania okolicy Kaipingu i Kaiczu przez flotę japońską opuścili Rosyanie w sile 3.000 ludzi z 20 działami Inkou (port Niuczwanu).

Petersburg 14 czerwca. Ukaz carski z 9 b. m. zarządza powołanie oficerów i podoficerów rezerwy do czynnej służby, a mianowicie: z dziewięciu okręgów gubernii penzeńskiej, jednego okręgu gub. permskiej, z sześciu okręgów gubernii samarskiej, z trzech gub. saratowskiej, z dwóch gub. orenburskiej, z czterech gub. ufskiej i moskiewskiej, z sześciu okręgów gub. tambowskiej, z dwóch gub. włodzimierskiej, z czterech gub. orelskiej i woroneskiej, z trzech gub. razańskiej, z czterech gub. tulskiej, z trzech gub. charkowskiej i z czterech okręgów gub. kurskiej. W kilku okręgach zarządzono także rekrutacyę koni.

Tokio 14 czerwca. Admirał Togo donosi: Dnia 10 b. m. zauważyła dywizya japońskiej floty cztery rosyjskie kontr-torpedowce w zatoce Talienwan w pobliżu Szaotington i zmusiła je do cofnięcia się ku Portowi Artura. W zatoce Talienwan zniszczono przeszło 70 min, a w zatoce peczilijskiej 30 min pływających.

Petersburg 14 czerwca. Przybył tu radykalny poseł czeski Kłofacz i udaje się jako sprawozdawca dzienników czeskich na plac boju.

HOTEL GEORGE'A.

Pokoje ze światłem i obsługą od 3 K. począwszy.

Przyjechali dnia 15 czerwca. Hr. Z. Zamoyski z Wysocka. Hr. L. Dębicki z Krakowa. S. Lewandowski z Bełzca. W. Zieliński ze Strzelisk nowych. K. Czarkowski z Niegowic. W. Skibniewski z Podola rosyjskiego. N. Bączkowski z Dobrowód. M. Wysocki z Rosyi. J. Nowosielski z Rumunii. B. Małachnowski z Krakowa. Br. C. Lazarini ze Złoczowa. Hr. L. Walewski z Rosyi. E. Waniv z Załanowa. L. Bureau z Francyi.

HOTEL EUROPEJSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 14 czerwca. Z. Gnatowski z Ukrainy. W. Żurowski z Olszanicy. J. Grunwald ze Strychaniec. B. Heller i R. Lossow z Borysławia. Dr. J. Wojtkowski z Grzymałowa. A. Dietl z Wiednia. M. Wiszniewska z Podola ros. X. W. Jelonek z Czernichowa. J. Chropiński z Jasła. P. Komarnicka z Jarosławia. M. Skólski z Worwoliniec.

HOTEL FRANCUSKI

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 14 czerwca. E. Hubiccy z Komarna. T. Rymarczyk i A. Federowicz z Krakowa. A. Hankiewicz z Wiednia. O. Ziemba z Sambora. W. Korzenny z Brzozdowiec. S. Kalmann z Wiednia. J. Rimensberger z Zurychu. L. Mayewski ze Stanisławowa. S. Wasilkowska z Rzeszowa. B. Schwager z Podwołoczysk. J. Rappaport z Wiednia. L. Klein z Budziejowic. W. Siengalewicz z Komarna. F. Konstantyn z Krasnego. K. Kozicki z Rosyi. M. Ulatowscy z Wołynia. D. Fleischer z Wiednia. F. Szczurowski ze Strussowa. A. Löwy z Wiednia. J. Krzysztofowicz z Artasowa.

Wiedeń 14 czerwca. (Giełda towarowa). Cukier 21·40—21·40 (spokojnie). Spirytus 46·60—47·00. Nafta galicyjska bez zmiany.

Berlin 14 czerwca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·20. Spirytus 00·00.

Paryż 14 czerwca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 98·00. — Mąka („Fleur de Paris“) 27·35.

Frankfurt 14 czerwca. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 201·40. Koleje państwowe 000.00 exclusive kupon. Alpiny 000·00 Disconto 000·00. Laura 000·00.

Budapeszt 14 czerwca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na październik 9·10—9·11; żyto na październik 6·86—6·87; owies na październik 5·86—5·87; kukurudza na lipiec 5·26—5·27, na sierpień 5·37—5·38. Rzepak na sierpień 10·40—10·50. — Oferty na szenicę: dobre. — Chęć kupna: lepsza. Usposobienie: silne. — Pogoda: piękna.

Wiedeń 14 czerwca. Pszenica: 9—65—10·00 (silnie), kukurudza 5·55—5·75, owies 5·80—6·00, rzepak 10·50—10·75. Pogoda piękna.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 14 czerwca.

Marki 117.37, renta majowa 99.25, węgierska renta koronowa 97·15, akcye: austr. zakł. kredyt. 640.25, węg. zakł. kred. 744·00, anglobanku 278·00, unionbanku 519.00, bankvereinu 509·00, länderbanku 426·50, kolei państw. 633.75, lombardy 78·00, akcye kolei Elbethal 420.50, fabryki broni 00·000, tytoniowe 329.00, alpiny 407·50, Rima Muranyi 484·50, prag. Tow. żel. 0000·00, losy tureckie 128.00, ruble 235·00. Usposobienie: bez interesu.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1904 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.00, 8.55, 5.40, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.20.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.40, 5.80, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.20, 5.06, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.25* (na dw. gł.) 8.04* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 6.10, 5.50, 9·10*.
Z Kołomyi i Stanisławowa: 8.10, 11.25.
Ze Stryja: 7.45, 10.02, 1.10, 4.85, 10.40*
Z Rawy i Sokala: 6.46, 6.00*
Z Jaworowa: 8.20, 4.45.
Z Sambora: 8.00, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.55**, 4.10*, 8.85, 6.20*, 10.55
Do Rzeszowa: 5.30
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.55**, 6.30, 9*—11.—*; z Podzamcza: **2.09**, 6.43, 9.21*, 11.24
Do Tarnopola: 10.15 z dw. głównego, 10.52 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.45**, 6.20, 10.45, 10.42*.
Do Stryja: 6.45, 9.10, 3.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.30, 7.05*.
Do Jaworowa: 6.50, 5.48.
Do Sambora: 9·25, 3·40.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.55.
Do Przemyśla, Chyrowa, Zagórza: 10.05*.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic: 6.46, 8.05, 12.39, 3.00, 4.30, 6.0*, 8.04* 9.12* (od 8|5).
Z Janowa: 8.20, 1.16, 4.45, 9.25*, 10.10* (od 15|5 w niedziele i święta).
Ze Szczerca: 9.35* (od 1|6 do 11|9 w niedziele i święta).
Z Lubienia W: 11.35* (od 15|5 do 11|9 w niedz. i święta)

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: 7.10, 9.30, 11.45, 1.05, 3.35, 5.05; 7.05* 8.17* (od 8|5) 11.10*, (każdej niedzieli).
Do Żółkwi: 11.10* (każdej niedzieli).
Do Janowa: 6.50, 9.15, 1.35 (od 15|5 do 31|8 w niedzielę i święta), 3.18, 5.48.
Do Szczerca: 1.45 (od 1|6 do 11|9 w niedzielę i święta).
Do Lubienia W.: 2.15 (od 15|5 do 11|9 w niedz. i święta).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

77)

Dama pikowa.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ V.

W trzy dni po owej rozmowie wierny agent z p. Lecoq odbywali już swoją kampanię. Wszystko złożyło się pomyślnie.

Nazajutrz po rzekomym wyjeździe do Hawru nabab przedzierzgnął się w komiwojażera, a czarny intendent w wędrownego kramarza.

Dżafer z Bahuru zwał się teraz Arystydesem Chalumet, zaś Murzyn Ali — Piotrem Paladru.

Mieli obaj papiery, wykazujące, że p. Arystydes Chalumet reprezentuje firmę Rawson i Jenkins dla sprzedaży win, zaś Piotr Paladru, rodem z Bourg d'Oisans, w departamencie Isère, ma prawo roznosić po całej Francyi towary.

Twarze ich, odzież i całe zachowanie odpowiadały najzupełniej tym paszportom.

Piédouche potrafił przybrać fizyognomię, chód i głos górala z Delfinatu. Był niegdyś w Grenobli i znał okolicę dostatecznie, by módz o niej mówić w razie potrzeby.

Znał na palcach ceny nici, szpulek, igieł, fularów i papierów listowych, umiał równie dobrze sprzedawać towar, jak i pociągnąć klientów za język, a w razie danym odpowiedzieć stosownie żandarmom.

Ojciec Lecoq odmłodził się o lat dwadzieścia, przybrał jednak postawę poważną, jak przystoi na reprezentanta solidnej firmy angielskiej.

Był trochę sztywny i chwilami zdradzał akcent angielski, choć był Francuzem, a nawet Paryżaninem ze swobody obejścia.

Miał w planie dwa typy i zamierzał ukazywać się raz w jednej, to znowu w drugiej postaci, stosownie do potrzeby.

W walizie wiózł kamizelki płócienne, spodnie kraciaste i kolorowe koszule.

Natomiast w skórzany kufer, znaczony jego inicyałami, włożył białe krawaty i garnitur frakowy.

Pierwsze dwa dni nie przyniosły żadnego plonu. Jeden dzień wystarczył do zbadania Ablon, Athis i okolicy. P. Lecoq przekonał się, że nie tu szukać należy. Informacye, które Piédouche przyniósł wieczorem pod kościół w Athis, utwierdziły go jeszcze w tem przekonaniu.

W Juvisy nie zdarzyło się też nic nowego.

Trzeciego dnia, rano, stary policyant wysiadł na stacyi w Savigny-Sur-Orge, w godzinę potem Piédouche przywędrował tam pieszo ze swoim tłómoczkiem.

Savigny jest miasteczkiem, liczącem tysiąc mieszkańców; w okolicy rozsiane są pałace i letnie siedziby. Miasteczko leży o 22 kilometry od fortyfikacyj, i oprócz kolei prowadzą do niego dwa bite gościńce; jeden, idący od rogatki paryskiej l'Eufer przez Sceaux i Lonjumeau; drugi, wychodzący od rogatki de l'Italie i przecinający Villejeuf i Juvisy.

Stary policyant powiadał sobie, że jeśli Tolbiac rozpiął gdzie namioty, to bez wątpienia w tej okolicy, połączonej tak wybornie z Paryżem, a jednak ustronnej, w której można było łatwo się ukryć.

P. Lecoq stanął w najlepszym hotelu „Pod Jeleniem“ i dobrze trafił. Właściciel tego hotelu, p. Bonasson, mieszkał w Savigny od lat wielu i znał wszystkich o mile dokoła. Mógł wskazać pochodzenie i wymienić cyfrę majątków, wyliczyć koligacye, opowiedzieć historyę każdej rodziny.

Ciekawy z natury, dobrze poinformowany, dzięki swojemu zawodowi, był przytem gadułą.

P. Arystydes Chalumet nie pominął tak cennego źródła informacyj, a pragnąc zaskarbić sobie łaski restauratora, zażądał najlepszego numeru i dobrego śniadania.

Każdy nowy przybysz jest rzadkiem i ciekawem zjawiskiem w Savigny, rzadszem jeszcze komiwojażer, albowiem tacy zatrzymują się zwykle w większych miastach; ale przybycie komiwojażera, sprzedającego wina od pięciu franków za butelkę, było prawdziwą osobliwością.

Właściciel hotelu sam mu przyrządził śniadanie, a gdy już stół był nakryty, zapytał go, czy zechce jeść z pewnym dostojnikiem z miasteczka.

P. Chalumet był rad z tej propozycyi, bo miał nadzieję, że dowie się, czego mu trzeba. Udał jednak, że mu to nie jest na rękę.

— Zwykłem jadać sam — odparł oberżyście.

— W takim razie jest pan niepodobny do naszych francuskich komiwojażerów. Każdy z nich krzywi się, gdy mu powiem, że niema *table d'hôte'u*.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** — Papier z fabryki Czerlańskiej. — Z drukarni E. Winiarza.